Wychodzi 1 i 15 każdego mie[...] Cena 20 gr

ECHO SPOŁECZNE

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM I PRACOWNICZYM

NR. 1 WARSZAWA — 1 STYCZNIA 1936 R. ROK IV

NUMER NOWOROCZNY W POWIĘKSZONEJ OBJĘTOŚCI (12 STRON) PRZYNOSI: PROF. WŁ. BURKATH: Problematy litewskie; J. CZYŚCIECKI: Wyprostujmy karki; P. HULKA-LASKOWSKI: Człowiek Pracy — Zadanie i cele Nowego Roku; L. JABŁONKÓWNA: W świecie sztuki; E. JAŚNIEWSKA: Dzieci jak kwiatki; J. LORENTOWICZ: Śród przekładów; H. LUKREC: Kratery wojny i natura świata; M. PRZEDBORSKA: O hasło jednolitego frontu pracowniczo-robotniczego; H. RYGIER: Nowe wielkie zadania; J. WASOWSKI: Ludzie przy biurku; W. ROGOWICZ: Międzynarodowy hołd Wskrzesicielowi Polski; oraz: O równe prawa; Bolesna prawda — na strzępie meldunku; Chaos w dziedzinie ubezpieczenia pracowników samorządowych; O czem wiedzieć należy; Nasz kalejdoskop; Pan „zużyty" wicedyrektor Stanisław Waligórski; Nędza i przestępczość; i wiele innych.

Człowiek pracy

Zadania i cele Nowego Roku

Ostatnie kilkanaście dni roku 1935 przyniosły nam wiele emocji a nawet wzburzenia. W pewnej chwili zdawało się, że trzeba będzie raz na zawsze rozstać się z wiarą w tę postać międzynarodowej solidarności, która skrystalizowała się w Lidze Narodów. Paryski projekt zlikwidowania zbrojnego zatargu włosko-abisyńskiego obciążał instytucję genewską tak nieoczekiwanie, iż zdawało się, że odtąd w całej okazałości panować będą tylko przeciwieństwa a zwyciężać będzie tylko mocniejszy. Wszyscy przyjaciele współpracy narodów byli przerażeni samą możliwością przemiany Ligi Narodów w narzędzie rozbiorów państw słabszych dla dogodzenia państwom mocniejszym. Lecz oto przemówiła opinja publiczna całego świata, osobliwie zaś opinja publiczna Wielkiej Brytanji i zachwiana równowaga moralna powraca.

Inna już sprawa czy ta równowaga zdoła się utrzymać dość długo, aby wielka zasada mogła zatriumfować; nie jest bowiem wykluczone, że dyplomacja w swej powikłanej grze może zaprzepaścić cele i dążenia solidarnej ludzkości. Ale ta olbrzymia fala oburzenia światowego jaka podniosła się przeciwko paryskiemu projektowi pokojowemu, świadczy bardzo wymownie, że narody kulturalne dostrzegają nietylko to, co je chwilowo rozdziela i przeciwstawia sobie, ale także, i bodaj przedewszystkiem to, co je łączy stale i trwale.

Pokazało się przy tej sposobności z całą pożądaną jasnością, że jawność opinji publicznej, wolność sł va i sumienia publicystycznego to wspaniały regulatyw moralny i pierwszorzędny odczynnik społeczny. Tam, gdzie opinja publiczna została wyłączona z krwiobiegu społecznego, całkowicie, lub choćby tylko częściowo, władza może mieć pozory siły, ale wszędzie, gdzie opinja publiczna i władza tworzą zwartą całość, siła rządzących jest niewymiernie większa. Społeczeństwa europejskie wypowiedziały się niedwuznacznie że stoją na gruncie zasad solidarności ligowej i od tej chwili mężowie stanu i politycy wiedzą, czego się trzymać.

Słusznie powiedziano, że demokracja to dyskusja. Oczywiście, nie jakaś jałowa dyskusja, która łatwo przeradza się w dysputę i spór, ale wymiana zdań z wyraźnym celem poznawania rzeczywistości, aby się z nią liczyć i do niej przystosować. Solidarność wszechludzka, która tak potężnie przemówiła na forum międzynarodowem, istnieje jako siła kierownicza także w łonie każdego kulturalnego społeczeństwa. — Obok niewątpliwych przeciwieństw, które przygodnie występują jaskrawo, istnieją siły, które są wyrazem jeśli już nie entuzjastycznej miłości i braterstwa, to przynajmniej trzeźwego, spokojnego poczucia łączności, współodpowiedzialności wszystkich za wszystkich, czyli solidarności. Nic nie potępiać bez wszechstronnego poznania i nie wytwarzać atmosfery nienawiści i walki, gdzie konieczna jest współpraca — oto naczelna zasada tej postawy społecznej.

Powiedzmy odrazu, że postawa to wyjątkowo trudna. Niema nic łatwiejszego nad jednorazowo ostateczne i nieodwołalne przyjęcie dogmatu partyjnego czy społecznego, podobnego do strychulca. Wszystko co się z nim choćby pozornie nie zgadza, zostaje odrazu potępione, uznane za wroga lub przynajmniej za przeciwnika. Ale życie zbiorowe nie jest czemś, co się gdzieś kiedyś stało raz na zawsze a jest bezustannem stawaniem się, i dogmat stworzony wczoraj na podstawie pewnej istotnej rzeczywistości, nie może już być miernikiem rzeczywistości dzisiejszej. Napoleon tworzył bardzo skrupulatne plany bitew, ale gdy trzeba było wybierać między zwycięstwem a niewolniczem i zgubnem trzymaniem się planu, potrafił odrzucić plan i przystosować się do tej rzeczywistości jaka się w danej chwili wytworzyła.

Jakież są zadania i cele człowieka pracy w tym nadchodzącym roku nowym? Jeśli społeczeństwo słusznie nazwano organizmem, to prastara mowa Meneniusa Agryppy, wygłoszona do plebejuszów na górze świętej staje się i dzisiaj programem dla wielkiej rodziny ludzi należących do najróżniejszych dziedzin pracy. Organizm, który cierpi na przerost pewnych organów i zaburzenia ich funkcyj, jest chory i nie zdobędzie się na nic wielkiego. Nie walka jest naszym ideałem, ale pokój i nie swary, ale harmonja.

Nie znaczy to bynajmniej, abyśmy mieli rezygnować z prawa krytyki tego wszystkiego, co zdaniem naszem krytyki potrzebuje. Krytyka ma na celu wymianę zdań, i krytyk, który wydaje sąd o krytykowanym, bardzo wiele uczy się od tego, którego sądzi, gdy otrzymuje od niego rzeczowe odpowiedzi i wyjaśnienia. W upadającej monarchji francuskiej pesymizmowi politycznemu przeciwstawił się entuzjazm dla państwa i jego spraw, gdy Necker z całą pożądaną jasnością i szczerością przedstawił ogółowi francuskiemu sytuację skarbu państwa i wskazał drogi uzdrowienia finansów francuskich. To, co dawniej było sekretem kilku jednostek i ich sprawą niejako osobistą, stawało się rzeczą powszechną, obchodzącą wszystkich i każdego. Niestety, Necker znalazł potężnych przeciwników i możliwość długiej wytrwałej i cierpliwej współpracy musiała ustąpić gwałtownym przeobrażeniom w burzy i zamęcie rewolucji.

Musimy poznać wszechstronnie sytuację człowieka pracy w Polsce i zdać sobie sprawę w jaki sposób dążyć do poprawy bytu wszystkich pracujących. Organizacja i dyskusja to już nie przywileje, ale nakazy. Dobrze jest, gdy pracownicy pewnej dziedziny mają własny organ publicystyczny, ale źle jest gdy ich stosunek do tego organu jest wyłącznie bierny. Żadna uczona księga, żadna wiedza specjalna nie dorówna głosowi żywego człowieka, wyrazowi jego doli i niedoli. Kiedy przeglądałem ostatni zeszłoroczny numer „Echa Społecznego", przedstawiający się pod każdym względem bardzo interesująco, kiedy przeczytałem doskonały artykuł Wacława Rogowicza, poruszający to samo zagadnienie, które dawniej już rozpatrywałem na łamach „Pionu", przyszło mi na myśl, że nasze „Echo Społeczne" może się stać czemś daleko ważniejszem, niż organem pewnej korporacji. Może ono mianowicie stać się bardzo poważnym organem polskiej opinji publicznej. Opinji tem cenniejszej, że niezależnej.

Co może wpłynąć skutecznie na awans społeczny „Echa Społecznego"? Co może przemienić dwutygodnik na tygodnik, a może i na dziennik? Obok usilnego kolportażu i tego wszystkiego, co daje trwały byt finansowy każdemu pismu, ogromnie ważną rzeczą jest najbezpośredniejszy kontakt czytelnika z pisarzem-publicystą. Jest to nieoszacowane doświadczenie wszystkich ludzi piszących, że tem więcej dawać mogą swoim czytelnikom, im większe ci czytelnicy stawiają im wymagania. Wszelka literatura to nietylko pisarz, ale i czytelnik. To samo można powiedzieć o literaturze publicystycznej.

Za najlepsze swoje artykuły uważam te, które mi przynosiły jak najwięcej listów od czytelników nietylko ze słowami uznania, lecz i ze słowami krytyki. Czasem czytelnik dostarczał materjału, jakiego daremnie szukaliśmy w najlepszych podręcznikach, czasem dorzucał uwagę wprost nieoszacowanie cenną, czasem zadawał pytanie bardzo pobudzające, niekiedy prosił o artykuł na określony temat. Takie bezpośrednie obcowanie człowieka z człowiekiem to najmilsza postać współpracy. Niema dobrego pisma, które przemawiałoby wyłącznie do czytelnika milczącego. Bez wielkiej przesady można powiedzieć, że najważniejszym współpracownikiem każdego pisma jest czytelnik. I każde pismo o tyle tylko spełnić może swoje zadanie, o ile na inicjatywę redaktora-wydawcy odpowie żywo czytelnik.

Niechże więc czytelnicy „Echa Społecznego" wiedzą, że interesów człowieka pracy tem skuteczniej bronić będziemy, im wyraźniej wypowiadać się będzie o naszej pracy rzesza czytelnicza. Jakie ma być pismo? Jakich artykułów pragną czytelnicy? O czem chcieliby się dowiadywać za pośrednictwem swego organu? Jakie ankiety należałoby rozpisywać? Itd. Itd. To są sprawy, w których czytelnicy mają głos decydujący. Nie chcemy być głosem wołającego na pustyni. Pragniemy głośnego echa swoich czytelników. Chcemy być naprawdę „echem społecznem", to jest echem tej społeczności ludzi pracy, której służymy swojem doświadczeniem pisarskiem. Ich głosy jak najliczniejsze są warunkiem zasadniczym, aby wogóle mogło ozwać się prawdziwe „Echo". Oto życzenia noworoczne, jakie w interesie czytelników „Echa" składam Redakcji, wszystkim współpracownikom i oczywiście, także sobie.

Paweł Hulka-Laskowski.

OD REDACJI

Z okazji Nowego 1936 roku Redakcja „Echa Społecznego" składa tą drogą swym przyjaciołom, prenumeratorom, czytelnikom oraz autorom cennych prac, drukowanych w Wydawnictwie naszem, szczere życzenia pomyślności, opartej na wierze w lepsze Jutro i na czynach, dokonywanych w imię lepszej przyszłości.

Walczmy wszyscy razem o potęgę naszej Ojczyzny i szczęście Jej obywateli, a osiągniemy zwycięstwo, albowiem jednością silni jesteśmy!

O równe prawa

Mocą ostatnio wydanych rozporządzeń podwyższono, jak dobrze wszystkim pracownikom wiadomo, podatek od uposażeń. Podwyższono go w skali progresywnej, idąc od pensji małej ku uposażeniom wyższym. Starano się więc utrzymać — przy najmniej pozornie — sprawiedliwość w nałożonych ciężarach obywatelskich.

W ślad za obniżeniem w ten sposób pensyj przystąpiono do obniżki cen poszczególnych artykułów pierwszej potrzeby, taksy komornego (dla małych tylko mieszkań i to w starych domach) i t. p.

Niestety obniżki te pozostały w niewspółmiernym stosunku do tej strasznej wiwisekcji urzędnika, jakiej dokonały ostatnie dekrety uposażeniowe. Prawda, ulżą one, nolens volens, budżetowi urzędniczemu, ale nigdy nie wrócą mu równowagi, nigdy nie wyrównają odebranej przez wysoki, jak na nasze stosunki — bardzo wysoki podatek, sumy.

Tego rodzaju posunięcia w odniesieniu do klasy pracowniczej śmiało możemy nazwać półśrodkami, które nie mogą i nie powinny doprowadzić do pożądanego celu — definitywnej naprawy budżetu państwowego. Półśrodki te nie mogą stać się lekiem na stan dzisiejszej niedomogi finansowej, bo

(Dalszy ciąg na str. 2-ej).

Prawo walki o byt jest prawem istnienia życia w świecie.

J. Piłsudski.

(Dalszy ciąg ze str. 1-ej).

są — w matematycznem wyliczeniu — fałszywem równaniem, które po zniesieniu niewiadomych nie da w wyniku znaku — 0 —, znaku równowagi i stabilizacji, lecz uzyska przy rozwiązaniu bolesną pozycję ujemną, idącą w miljony.

Półśrodki te nie powinny wreszcie stać się jedynem narzędziem obecnie podejmowanej naprawy. Bo takie już jest twarde i nieubłagane prawo życia społecznego, że istnieje w jego wszystkich nawet najdrobniejszych przejawach wzajemna zależność i wzajemne oddziaływanie czy grup czy jednostek, wchodzących w skład danej społeczności. Te więzy i ta wynikowość zjawisk potęguje się specjalnie w społeczeństwie państwowo zorganizowanem, w państwie. Tu staje się normą, staje się prawem, przed którem jak przed każdem prawem naturalnem, człowiek staje bezsilny. Podniesienie podatku od uposażeń prowadzi w prostej linji do pauperyzacji klasy pracowniczej, klasy, która notabene stanowi bardzo poważny odłam społeczeństwa. Zmniejszone ramy budżetu domowego pracownika odczuje na sobie przemysł, handel, rolnictwo i wiele innych gałęzi, które razem tworzą gospodarstwo narodowe.

Powstaje błędne koło.

A wyrosło ono na błędnej od lat stosowanej polityce. Kiedy państwo w potrzebie, kiedy skarb wykazywać poczyna niedobory, czynniki rządzące odwołują się — rzecz zrozumiała — do ofiarności społecznej. Tak powstał wielki fundusz narodowy u progu naszej stabilizacji finansowej. Tak doszła do skutku Pożyczka Narodowa, czy ostatnia, dziś jeszcze spłacana w ratach — Inwestycyjna.

Ale — rzecz dziwna. Owo „społeczeństwo", do którego rząd odnosił się z apelem, w praktyce streszczało się głównie do słów: urzędnik i robotnik. Te warstwy stały się tym parjasem, który każde drgnienie niepomyślne konjunktury odczuwał zniżką uposażeń, ale za to z reguły towarzyszącą... zwyżką cen.

I nominalnie i faktycznie, obniżka taka coraz staczała ich na skraj tego, co się nazywa minimalnemi warunkami egzystencji człowieka.

Dalecy jesteśmy od negacji jakiejkolwiek pomocy klasy pracującej potrzebującemu Państwu.

Formułujemy na tem miejscu jednak przekonanie, że ze wszystkich klas najbardziej klasa pracująca ucierpiała na ratowaniu skarbu. Sytuacja stawała się coraz groźniejszą, coraz bardziej paradoksalną, aż doszła w ostatnich tygodniach ubiegłego roku do groźnego memento — tylko pracownik ponosi ciężary publiczne i tylko nań spada lawina obniżek.

Dla poparcia tych prawd oczywistych służymy pewnemi danemi, które w jaskrawy sposób dowiodą tego szczególnie „uprzywilejowanego" u nas stanowiska pracownika. Są to wprawdzie dane dotyczące urzędników państwowych, sądzimy jednak, że niewielki popełnimy błąd, jeżeli poniższą tabelkę przyjmiemy za typową, za prawdziwą dla całej rzeszy pracowników umysłowych w Polsce.

W kołach urzędników państwowych obliczono, że ostatnio dokonana obniżka uposażeń w formie podatku specjalnego jest od roku 1931 czternastą (!!!) obniżką poborów urzędników państwowych.

Chronologicznie to zaciskanie sznura wokół szyi urzędnika przedstawia się następująco:

1) 1 stycznia 1931 — wstrzymanie awansów i przemianowań urzędników państwowych;

2) 1 kwiecień 1931 — podwyższenie opłat emerytalnych o 2% pensji zasadniczej.

3) 1 kwiecień 1931 — podwyższenie podatku dochodowego o 10%;

4) 1 maj 1931 — obniżenie djet podróżnych o 20%;

5) 1 maj 1931—skasowano powszechny 15% podatek od uposażeń;

6) 1 lipiec 1931 — wstrzymanie przesunięcia w szczeblach;

7) 1 lipiec 1931 — cofnięcie 20% dodatku stołecznego i zmniejszenie do 50% dodatku kryzysowego;

8) 1 kwiecień 1932 — podwyższenie (ponowne) opłat emerytalnych o 3% poborów;

9) 1 kwiecień 1932 — ograniczenie państwowej pomocy lekarskiej przez skasowanie dopłat Państwa do lekarstw;

10) 1 wrzesień 1933 — skasowanie zwrotu opłat szkolnych za dzieci urzędników państwowych, korzystające ze szkół prywatnych;

11) we wrześniu 1933 — pracownicy dobrowolnie subskrybowali Pożyczkę Narodową; w przybliżeniu stanowiło to 8% uposażenia;

12) 1 luty 1934 — „przeszeregowanie": 1/3 pracowników obniżono pensje o blisko 7%, 1/3 — o 1,6%; (pozostała 1/3 „przeszeregowana" została zgodnie z zasadą: im wyższe zarobki, tem wyższa podwyżka).

13) 1 maj 1935 — dobrowolna subskrybcja Pożyczki Inwestycyjnej; przeważnie stanowiło to około 8% uposażenia;

14) 1 grudzień 1935 — podatek specjalny w wysokości 7 — 25% poborów.

Litanja nawet, jak na czasy kryzysowe, wyjątkowa.

A tymczasem, jak wynika z materjałów specjalnie przeprowadzonej w koncu 1935 r. ankiety, zadłużenie pracowników umysłowych w Polsce wynosi równowartość od trzy do siedmiomiesięcznego uposażenia na „głowę". Obciążenie to wywołane niedoborem w koniecznych wydatkach budżetu domowego proporcjonalnie rosło w miarę coraz nowych obniżek. Dziś, kiedy świat pracowniczy stanął przed faktem dokonanym nowej najwyższej obniżki (w formie podatku) zobowiązania finansowe pracowników umysłowych, zaciągnięte w innych warunkach i przy znacznie wyższem ich uposażeniu, stały się ciężarem nie do zniesienia.

Rzućmy okiem na tabliczkę przed chwilą podaną, a ustalimy, że w ciągu ostatnich lat pięciu zarobki pracowników zostały obniżone niemal o połowę. A długi? Długi zostają te same, mimo wyraźnej podstawy logicznej do ich proprocjonalnej obniżki czy częściowego umorzenia.

W prasie w ostatnich dniach pojawiły się pogłoski o pewnych projektach „oddłużeniowych" w odniesieniu do urzędników. Ponoć są poddawane rozwadze trzy projekty — tymczasem jednak bez aprobaty czynników miarodajnych.

Wyrażamy mocne przekonanie, że sprawą umorzenia zobowiązań finansowych urzędników winien się zająć rząd.

Jest to sprawa niezmiernej wagi.

I sprawa, która na tle ogólnych stosunków prawnych musi i powinna mieć powodzenie.

Zważmy bowiem momenty zasadnicze. Urzędnik zaciąga zobowiązanie finansowe wobec danej instytucji, zaciąga je w dobrej wierze spłaty należnych sum, gdyż w budżecie swym w ramach uposażenia mieści się ów dług. Przychodzą obniżki, które w sposób zasadniczy zmieniają stan faktyczny.

Jest w prawie uznana zasada clausula rebus sic stantibus, kótra ustala, że dane normy obowiązują przy niezmnienionych warunkach. Jest również uznawana przez prawników zasada: cessante ratione legis, cessat lex ipsa (z chwilą ustąpienia racji powstania prawa, ustępuje samo prawo).

Weźmy wreszcie przykłady bardzo bliskie, które dla naszych rozważań mają powagę precedensów, mają powagę wiążących wskazań dla kierowników polskiej polityki wewnętrznej. Mamy tu na myśli niedawne oddłużenie własności rolnej. Motywem ustawodawczym tu była niewątpliwie m. in. **zmiana** zasadnicza warunków jednej ze stron stosunku zobowiązaniowego.

A dalej przypomnijmy sobie moratorjum na sumy hipoteczne. Motywem znów była **zmiana** stanu faktycznego. A sumy hipoteczne mają charakter sum bezspornych, jako sum obwarowanych mocnemi rygorami prawnemi i zachowaniem wszelkich formalności. Wreszcie—umorzenie idących w setki miljonów złotych sum, niewpłaconych przez pracodawców Ubezpieczalni Społecznej, należnych jej z tytułu zaległych składek pracowniczych.

W ogólnej pauperyzacji, a raczej zaciskaniu się zasięgu obrotów nawet normy prawne ustąpić musiały z zajmowanych pozycyj i przejść na łatwiej dostępne, bardziej „ludzkie" poprostu warunki.

I na tych opierając się przykładach, uważamy żądanie oddłużenia pracowników umysłowych za wysoce usprawiedliwione. Więcej nawet — nasze żądania są na tle przedstawionego obrazu, wołaniem o **równe** prawa. Konsekwencją moratorjum rolniczego, hipotecznego i wielu innych musi być moratorjum długów urzędniczych. Lichwiarskie często procenty, narastające z biegiem czasu, grzebią i tak znękanego sytuacją finansową urzędnika.

Oddłużenie naszych zobowiązań odsunie od urzędniczych mas widmo ciężkiej wegetacji, i będzie niewątpliwie poważnym krokiem do wyjścia z błędnego koła wytworzonego ostatniemi posunięciami gospodarczemi Rządu.

T. J. O.

Nowe wielkie zadanie

Takby się chciało na początku roku powiedzieć ludziom ciężkiej pracy i wciąż uciążliwego bytu jakieś słowo pokrzepienia i nadziei, że oto najgorsze jest już za nimi, i że ciosy, które, jakby na ironję — od dłuższego czasu spadają na nich właśnie na nowy rok, są już ostatnie w kolei udręczeń.

Na słowo to czeka w niepewności o swe jutro pół miljonowa rzesza jeszcze zatrudnionych pracowników umysłowych, w rozpaczy, jak przebiedować, choćby dzień dzisiejszy, dwustutysięczna armja bezrobotnych, beznadziei — prawie czterdziestotysięczna gromada corocznych absolwentów szkół średnich i akademickich. Przedmiotem niepokoju znakomitej większości tych ludzi jest przecież tak skromne wymaganie, jak możność utrzymania lub zdobycia zarobku około 200 zł. miesięcznie.

Trwoga starszego pokolenia, mającego na utrzymaniu żony, dzieci i niejednokrotnie kogoś z rodziny, potęguje jeszcze świadomość, że oto do konkurencji z niem stają ludzie młodzi, lepiej nagół wykształceni, zdrowsi, energiczniejsi, niewątpliwie z mniejszą praktyką, lecz za to z również mniejszemi wymaganiami i łatwiej przystosowujący się do nowych warunków.

Oto rok rocznie chce stanąć do pracy około 6.000 ludzi z dyplomami akademickiemi. Według obliczeń Komisji Studjów Tow. Przyjaciół Młodzieży Akademickiej państwo i samorządy mogą wchłonąć rocznie maximum 1500 nowych pracowników z cenzusem szkoły wyższej. Prawdopodobnie drugie tyle, ale w każdym razie nie więcej, wchłania życie gospodarcze i społeczne. Pozostała liczba około 3.000 osób szuka dla siebie ujścia istotnie za wszelką cenę. A obok tego znamy już dziś inną niemniej groźną cyfrę, która głosi, że prawie 43% ogółu zatrudnionych pracowników umysłowych stanowią ludzie, mający zbyt małe wykształcenie ogólne i zawodowe, bo zaledwie ukończoną szkołę powszechną, niższą zawodową lub kilka klas gimnazjalnych.

Zapewne, że wśród nich znajdują się jednostki wyjątkowo uzdolnione z natury, które na drodze samouctwa i praktyki życiowej zdobyły odpowiednie przygotowanie zawodowe, — i ci konkurencji młodzieży, choćby znacznie lepiej pod względem szkolnym przygotowanej, nie obawiają się. Są to właśnie ci, o których w Nr. 12 Echa Społecznego z dn. 1 grudnia 1935 r. w świetnym artykule pisze mianujący się „analfabeta" p. Wal. Zupełnie zasłużenie zajmują oni „stanowiska od manipulantów aż do dyrektorów poważnych instytucyj". Im istotnie „dyplom" nie jest niezbędnie potrzebny, bo posiadają oni coś więcej, niż świadectwo szkolne, gdyż „pilność", ambicję, „inteligencję" i, dodałbym, charakter.

Ale nie wszyscy idą i mogą iść tą drogą. Dla znakomitej większości pracowników umysłowych szkoła, systematyczna nauka, odbycie praktyki i dalsze nieustanne samokształcenie są tą metodą, którą zasadnie usankcjonowały już nie wieki, ale tysiąclecia. Majster niełatwo naogół zastępuje inżyniera, felczer czy pielęgniarz lekarza, a półanalfabeta niedobrze jest, a nawet jest źle, gdy pełni odpowiedzialną funkcję pracownika umysłowego państwowego lub prywatnego.

Oto, co mówią w tym zakresie cyfry z polskiej rzeczywistośc. W 1933 r. na każdych 100 zatrudnionych mężczyzn w zawodach pracowniczych, zwolnionych zostało z posad 20,2 i nowozaangażowanych 21,2. Według wykształcenia przedstawiało się to, jak następuje: pracowników umysłowych z wykształceniem szkoły powszechnej zwolniono 18,9%, przyjęto 15,8% (—3,1%), z wykształceniem średniem nieukończonem zwolniono 20,5%; przyjęto 18,8 (—1,7%), ze średniem ukończonem: 20,3% i 24,8% (+ 4,3%), z zawodowem niższem: 17,3% i 18,7% (+ 1,4%), z zawodowem średniem: 21,3% i 24,8% (+ 3,5%), z wyższem nieukończonem: 18,8% i 24,5% (+ 5.7%) i z wyższem ukończonem: 19,9% i 24,1% (+ 4,2%).

Najwyraźniej zatem już w 1933 r. w obrocie pracowników umysłowych ludzie o lepszem wykształceniu ogólnem i zawodowem wyciskali systematycznie tych, których kwalifikacje były mniejsze. Można przypuszczać, że proces ten postępował naprzód w latach następnych, i że rok 1936 nic w tym kierunku nie zmieni.

Oto trzeci już rok Instytut Oświaty Pracowniczej szerzy ideę organizacji samokształcenia ogólnego i zawodowego na terenie związków pracowników umysłowych. Z przyjemnością przy sposobności stwierdzam, że redakcja Echa Społecznego dzielnie sekunduje pod tym względem Instytutowi. I słusznie — bo znów inne cyfry przemawiają za tym kierunkiem: studja średnie zapewniają prawie dwukrotnie wyższy poziom płac, studja zaś akademickie trzykrotnie wyższy od poziomu płac ludzi bez specjalnego wykształcenia. W ostatnich latach tendencja ta się potęguje, i obecnie posiadanie wykształcenia średniego lub wyższego (specjalnie dla mężczyzn) daje znów wyższe korzyści, niż poprzednio. Czyżby istotnie lepiej płacono tylko za przyjemność posiadania pracowników z wyższym cenzusem, czy też produktywność pracy tych ludzi jest również wyższa?

Systematycznie przeglądam sprawozdania z działalności zagranicznych związków zawodowych pracowników umysłowych, Międzynarodowego Biura Pracy i związków polskich oraz ich central, — i dosłownie nie znalazłem w ostatnich latach ani jednej uchwały, która mówiłaby o konieczności zorganizowania samokształcenia i samouctwa dla zatrudnionych i bezrobotnych pracowników umysłowych.

Robią to niektóre rządy, robią to zwłaszcza z rozmachem Stany Zjednoczone, Rosja i Rzesza Niemiecka, organizują to dla siebie na szeroką skalę stowarzyszenia robotnicze i w kilku krajach włościańskie, — ale pracownicy umysłowi na tem polu prawie, że są nieobecni, jakby odpowiednie ugarnirowanie ich głów nie było właśnie najlepszym orężem w ich walce o lepszy byt i o zdobycie wyższej pozycji społecznej.

Na tle powyżej przytoczonych cyfr występuje nonsens życiowy takiego stanowiska.

Zapewne, że „w nędzy każde społeczeństwo jest niekulturalne, a potrzeby wyższego gatunku znikają tam, gdzie potrzeby elementarne nie są zaspokojone".

Trzeba się jednak zastanowić, jaką drogą należy nam pracownikom umysłowym, zdążać, aby otrząsnąć się z tej „nędzy". Czy biernie czekać na poprawę konjunktury, dokonaną innemi rękami, czy też obrać drogę aktywną, którą specjalnie dla nas jest stałe, systematyczne, co-

(Dlaszy ciąg na str. 3-ej).

Bolesna prawda na „strzępie meldunku"

Dnia 22 grudnia 1935 roku spiżowe wieko pokryło w krypcie na Wawelu doczesne szczątki Wielkiego Marszałka, złożone w kryształowej trumnie.

Zakończyła się głęboka żałoba serc tysięcy obywateli, którzy zjeżdżali do Krakowa ze wszystkich ziem Polski, aby w ciszy i skupieniu jednem choćby spojrzeniem, jednem choćby westchnieniem serdecznego żalu pożegnać na wieki Wskrzesiciela Niepodległej Ojczyzny.

Dzisiaj kult dla Osoby i Dzieła Józefa Piłsudskiego pielęgnujemy i potęgujemy w naszych sercach i umysłach, nietylko przez nieprzerwany, wytężony, codzienny nasz trud dla dobra Państwa i Narodu, mając stale w pamięci hasło, rzucone przez Marszałka o wyścigu pracy, ale również przez wczytywanie się w dzieła pisane przez Józefa Piłsudskiego oraz przez pogłębianie naszej wiedzy o Nim przy pomocy wydawanych drukiem poważnych prac historycznych i pamiętnikarskich. Z tych właśnie ksiąg winniśmy czerpać zasoby wiadomości i wskazań, jak dla Polski pracować należy. I nie może i nie powinna ostać się wśród nas jakakolwiek inna doktryna o wartościowej pracy państwowotwórczej, kórej źródło nie byłoby zasilane przez twórcze myśli Józefa Piłsudskiego.

Najniewątpliwiej, że jedną z charakterystycznych cech osobowości Polaka, powstałą w okresie wieloletniej i ciężkiej niewoli Narodu, jest uchylanie się od odważnego poznania całej, chociażby najbardziej przykrej, prawdy o danej sprawie czy zdarzeniu, a następnie od odważnego i stanowczego zastosowania środków, usuwających radykalnie jakąś wadę, czy też brak, złą wolę lub nieumiejętność, fatalnie oddziaływujące na właściwy układ stosunków międzyludzkich, czy też na należyte kształtowanie się danego, ważnego dla życia zbiorowego, zagadnienia.

Za takie właśnie zagadnienie, drażliwe i wielce skomplikowane, a przeto mało nadające się do publicznej dysputy, uchodziła sprawa urzędnicza, t. zw. „biurokracji", czyli pracowników biurowych w urzędach i instytucjach państwowych, a w szerszem ujęciu — również w instytucjach samorządowych i publiczno-prawnych. Dlaczego tak się właśnie działo, to inna sprawa, niewątpliwie bardzo ciekawa jako proces narastania w organizmie administracyjnym Państwa określonego nowotworu, nierzadko złośliwego, i wymagającego obszernej i umiejętnej wielostronnej analizy metodologicznej.

Dopiero teraz, gdy Wielki Marszałek zamknął oczy do snu wiecznego, dowiaduje się szeroki ogół obywateli o poglądach Zmarłego na wartość świata urzędniczego, o jakże surowych o nim sądach, o wyjątkowych tylko wypadkach zaufania i szacunku dla pracy jednostek w tym świecie urzędniczym. Miejmy odwagę odczytać urywki zdań, wypowiedzianych przez Pana Marszałka o urzędnikach na Radzie Gabinetowej w dniu 28 listopada 1930 roku. Tak oto powiedział Pan Marszałek: „...znajdowałem wszędzie przeszkodę w postaci mafij urzędniczych. To są dranie w tych mafjach, a panowie (t. j. ministrowie — uwaga autora artykułu) chcecie tylko wygody mieć... Na początku Państwa ta banda mafij rosła, ale ja miałem wojnę. Wszędzie furtki i wyjątki dla wybranych, to stała praca personaljów. Co to za zabawa?... Krętacze, wstyd mówić o waszych urzędnikach. Jeden człowiek pracowity pracuje za dziesięciu innych. Dlatego każda rzecz, której w urzędach dotknąć, to... śmierdzi i śmierdzi. Ten wóz państwowy i zapałki, które go zatrzymują. Ta niemoc panów (t. j. ministrów — uwaga autora artykułu) w stosunku do urzędników, ja nie mogę jej znosić. Dlatego zaczynam wycofywać się z politycznego centrum i podaję się do dymisji".

Nie potrzeba, jak mniemamy, posiadać specjalnych kwalifikacyj naukowych, czy też bogatych doświadczeń życiowych, lub zawodowych, aby odczuć i zrozumieć ten ogrom potępienia, jaki spłynął wówczas z ust Pana Marszałka. A czy słusznie? I znowuż jest konieczny wysiłek naszej odwagi cywilnej i szczerości, by odpowiedzieć: tak, słusznie. Wady „biurokracji" polskiej w poszczególnych okresach życia Polski Niepodległej były tak potworne, że powinniśmy ze wstydem pochylić głowy i wysłuchać w milczeniu Marszałkowego osądu. Czy to sięgniemy myślą grudnia 1922 roku i męczeńskiej śmierci Gabryela Narutowicza, jakże ofiarnie dźwigającego na swych barkach Majestat Rzeczypospolitej, czy maja 1926 r., czy wreszcie uświadomimy sobie ohydę mafijnych więzów, łączących świat urzędniczy z ponurymi uczestnikami targowiczańskiego sejmowładztwa, — więzów, które doprowadziły aż do policyjnego śledzenia Wielkiego Marszałka przez łajdackich Swolkieniów i innych wyrzutków „centrolewowych" — to stają nam przed oczyma całe zastępy polskich „biurokratów", którzy nie dorośli ani sercem, ani umysłem do wielkości i potęgi Polski Niepodległej i dla których jedyną atmosferą, godną ich egzystencji i działalności było środowisko karłów zaplutych.

Jakże bolesne i gorzkie słowa padły na owej Radzie Gabinetowej z ust Józefa Piłsudskiego i jakże nikczemne uczynki słowa te musiały spowodować.

Pobieżne chociażby przemyślenie owej fatalnej sytuacji, w jaką świat pracowniczy został wówczas wprowadzony i trwał w niej bezmyślnie i bezwolnie przez lat kilkanaście, doprowadzić nas musi do przeświadczenia, że dwie okoliczności przedewszystkiem, przed wszystkiemi innemi, wpłynęły decydująco na ten katastrofalny, zarówno dla Państwa, jak i dla ogółu pracowników biurowych układ stosunków. Mianowicie: Nienależyte, czyli pisząc ściślej, powierzchowne i formalne tylko zrośnięcie się pracowników, jako warstwy społecznej z ideą potężnej i niepodległej żywej Polski, oraz niedostateczne ich przygotowanie państwowe i zawodowe do wykonywania czynności nietylko w dziedzinie administracji formalnej, ale również — i w pierwszym rzędzie — w zakresie wychowawczym dla rzesz szarych jego obywateli.

Niewiele byłoby warte w ujęciu praktycznem poruszenie przez nas zagadnienia aktualnej wartości dla państwa i społeczeństwa stanu urzędniczego, gdybyśmy nie zastanowili się, chociażby pokrótce, nad tem, jakże to *dzisiaj* wyglądają zastępy naszych pracowników biurowych pod względem zrośnięcia się ich z Państwem oraz przygotowania zawodowego, a co za tem idzie wywierania określonego, dodatniego wpływu — nazwiemy go wychowawczym — na współobywateli?

Winniśmy uświadomić sobie również, jakby to *dzisiaj* zechciał wyrazić się Pan Marszałek, gdyby Naród nasz cieszył się jeszcze Jego życiem, na Radzie Gabinetowej o wartości obecnej świata urzędniczego.

Jeżeli przyjmiemy za wiążący system odmierzania wartości naszych wysiłków w dziedzinie pracy dla dobra Państwa i społeczeństwa i dla dobra własnego w zakresie bogacenia naszych wiadomości zawodowych nie w ujęciu tem, cośmy już zdziałali, ale w ujęciu — co *jeszcze* pozostało do zrobienia w tych dwóch wielkich dziedzinach wartości obywatelskich i osobistych, to przyznać winniśmy, że pozostało nam jeszcze do opanowania bardzo wiele wiedzy zawodowej i niemniej szkolenia obywatelskiego, niezbędnego dla chwalebnego wywiązywania się z przyjętych obowiązków urzędnika-obywatela.

Podkreślamy to z całym naciskiem, że prace nad kształtowaniem wartościowego elementu urzędniczego winny być prowadzone jednocześnie w dwóch kierunkach. Z jednej strony w zakresie wychowania obywatelskiego, gdyż przez nie przyśpieszy się i ułatwi realizowanie o kapitalnem znaczeniu dla rozwoju Państwa procesu „zrastania się Narodu z Państwem", a z drugiej — w dziedzinie kształcenia zawodowego, albowiem dyletantyzm w sprawach administracji państwowej, czy też samorządowej, owiany najlepszą nawet wolą i uczciwością pracowników, dzisiaj wystarczyć już nie jest w stanie. Co więcej, regulowanie spraw obywateli przez ludzi do tego wszechstronnie nieprzygotowanych musi pociągnąć za sobą nietylko oburzenie wśród „rządzonych", ale z czasem niechybną klęskę dla ładu i wewnętrznej struktury Państwa. Poza normalnymi, swymi, powszechnie znanymi, obowiązkami zawodowymi, stan urzędniczy w Polsce ma sobie powierzony przez układ własnego bytu państwowego oraz życia zbiorowego ponadto jeszcze jeden niezwykle doniosły obowiązek. Jest to obowiązek wychowania państwowego przeciętnego obywatela polskiego. Terenem tej akcji wychowawczej jest urząd, instytucja, biuro i t. p. komórka administracji publicznej, a treścią jej — zbliżenie obywatela do Państwa i odwrotnie, wyrobienie w obywatelu poczucia obowiązku służby względem własnego Państwa i społeczeństwa. Metoda wychowawcza — przykładne i dowodne uświadamianie obywatela o jego uprawnieniach obywatelskich i o wolności osobistej, wynikającej dlań ze struktury państwa demokratycznego.

Słusznie bowiem powiedział jeden ze współczesnych wysoce uzdolnionych naszych publicystów w artykule swym p. t. „Zaufać, czy patrzeć spodełba?", że „Wszyscy ideolodzy i ludzie, mający zrozumienie walorów ideowych w kształtowaniu ducha i dziejów narodu, wołają zgodnie i słusznie, że rządzenie, któremu nie przyświecają cele wychowawcze, może być chwilami nawet bardzo sprawne, ale jest bezduszne i przez to krótkotrwałe".

Dalecy jesteśmy od propagowania systemu, który w Polsce Niepodległej stał się niejako regułą w dziedzinie realizowania zagadnień z rozbudową życia państwowego związanych, — systemu, polegającego na beztroskiem przerzucaniu obowiązków, należących z istoty rzeczy do ośrodków pracy społecznej, na barki państwowe. System ten oceniamy jako podwójnie szkodliwy; z jednej bowiem strony obciąża on nadmiernie i pracą i wydatkami młody organizm państwowy, a z drugiej — pozbawia społeczeństwo nasze wykazania niezbędnego w życiu narodów twórczego wysiłku w pracy konstruktywnej.

W danym jednakże wypadku, gdy jest mowa o jednolitej, planowej i bezwarunkowo wartościowej co do zasięgu i zakresu działania i śpiesznej, gdy o czas chodzi, akcji obowiązkowego szkolenia obywatelskiego i zawodowego naszego zespołu urzędniczego, to nie widzimy innej gwarancji osiągnięcia całkowicie realnych i dodatnich jej wyników, jak tę, aby Państwo przyjęło na siebie przez swój resortowy organ rządowy inicjatywę działania, ustaliło program szkolenia oraz dokonywało zwierzchnią kontrolę tegoż wykonywania. Oczywiście, że wszystkie, bez wyjątku, pracownicze organizacje zawodowe, byłyby z mocy prawa (odpowiednia nowelizacja prawa o stowarzyszeniach) wezwane do realnego w tym zakresie działania.

Jakich tedy korzyści należałoby oczekiwać od tego rodzaju szkolenia, przedewszystkiem dla Państwa, ogółu obywateli, a następnie dla świata urzędniczego? Ogół obywateli otrzymałby, bezwątpienia, oczekiwany oddawna zespół państwowo, społecznie i zawodowo należycie przygotowanych urzędników wychowawców i opiekunów prawa i sprawiedliwości; Państwo — mądrych i sprawnych realizatorów jego zamierzeń, godnych zaufania i ideowych działaczy w procesie istotnego i nierozerwalnego zrastania się Narodu z Państwem; świat urzędniczy wreszcie odzyskałby w społeczeństwie szacunek i zaufanie, harmonję w pracy dla dobra powszechnego łącznie z wychowywanym państwowo obywatelem, wreszcie należytą oceną pracy urzędnika-obywatela.

Nie byłoby wówczas do pomyślenia, aby gnębiąca dzisiaj świat pracowniczy i bezkarnie wśród niego dzikie harce wyczyniająca polityka „biur personalnych" mogła prostytuować, jak to czyni obecnie, dusze pracownicze i wypaczać charaktery, niszcząc doszczętnie wiarę w uczciwość i sprawiedliwość ludzką. Nie będą wówczas możliwe wybryki różnych przygłupów, odmierzających prawo do życia pracownika według stopnia jego „zużycia". Nie ujawnią się wówczas na powierzchni życia typy zboczeńców etycznych, grożących bezkarnie pracownikom biciem po twarzy. Istotnie uświadomienie obywatelskie pracowników oraz ich wiedza zawodowa będą tym niezawodnym lekiem, który zniszczy bezpowrotnie bakcyle rozkładu społecznego, toczące dzisiaj organizm pracowniczy.

I nastąpi wówczas dopiero potwierdzenie i w naszem życiu państwowem i społecznem tej wielkiej prawdy, że istotnie wartościową jest ta administracja, której ostrości i tępoty postępowania nie odczuwają lojalni i uczciwi obywatele *).

Jan Olski

*) Wypowiedzenia Pana Marszałka na Radzie Gabinetowej w listopadzie 1930 r. zaczerpnęliśmy z pięknej księgi Gen. Sławoja Składkowskiego p. t. „Strzępy meldunków", o której recenzję „Echo Społeczne" umieszcza w tym numerze.

(Dalszy ciąg ze str. 2-ej).

dzienne podwyższanie naszych wartości ogólnokulturalnych i zawodowych? Czy podwyższenie naszego własnego poziomu nie spowoduje zwrócenia uwagi całego społeczeństwa na wartości kulturalne, a przez to czy nie wzmoże powszechniejszego zapotrzebowania na dobra wyższego gatunku, których producentami jesteśmy my, a w konsekwencji — czy nie nastąpi zapotrzebowanie na nas samych.

Jakże zachęcająco brzmi zakończenie wspomnianego wyżej artykułu p. Wala.

„Dokształcamy się, bo doceniamy potrzebę rozszerzenia swych wiadomości ogólnych, odczuwamy głód wiedzy. Nas nie usypia dyplom. Dla nas nauka nie jest środkiem do uzyskania posady, a jest wartością, za którą trzeba płacić gotówką, trudem, zdrowiem, dla której trzeba złamać samego siebie".

Padło wiekie słowo: „złamać samego siebie", złamać w sobie opór, niechęć, czasami nawet złowrogość w stosunku do kultury.

Rok 1936 zdaje się być wreszcie po przez klęski świata pracy przygotowany do uznania zasady, że bez przeprowadzenia szerokiej akcji kulturalno-oświatowej i na terenie samych pracowników umysłowych i ogółu obywateli Polski walka z upośledzeniem i z bezrobociem pracowników umysłowych jest beznadziejna. I że traci również na tem cały nasz kraj.

Do rzędu uznanych już postulatów związkowych może i powinien przybyć nowy nie mniej ważny, a niewątpliwie najbardziej twórczy.

Jeśli część naszych myśli i naszej energji w tym kierunku zwrócimy i jeśli skłonimy nasze organizacje do zajęcia się zagadnieniem kultury, rok 1936 może być rokiem przełomowym.

Każde zagadnienie nowe znajduje opór i niewiarę. Niewątpliwie i w tej dziedzinie niechętnych i wątpiących nie będzie mało.

Henryk Rygier

Administracja „Echa" przypomina o jaknajśpieszniejszem odnowieniu prenumeraty na rok 1936, bowiem zalegającym prenumeratorom zostanie wstrzymana wysyłka naszego pisma już z dniem 15 stycznia 1936 roku.

Ludzie przy biurku

Widziałem ich dużo. Tysiące. Jako szef, jako podwładny, jako interesant. Obserwowałem ich przez długie lata. W urzędach państwowych, w małych i wielkich przedsiębiorstwach, w instytucjach rozmaitych.

Podzielili mi się na pewne kategorje, na pewne typy psychiczne, jakby przez biurko urobione. Tak, naturalnie, w każdym człowieku dostrzec można jakąś inność, jeśli mu się dobrze przyjrzeć. Niema na świecie dwóch stworzeń absolutnie jednakowych, niema też dwóch ludzi, którzyby się niczem od siebie nie różnili. Lecz są kategorje, są typy, są gatunki...

W szarej, prawdziwie szarej masie dają się jeszcze wyodrębnić różne odcienie szarości.

Mówi się o tem, że świat cywilizowany popadł w niewolę maszyny, która z ludzi robi automaty. A jakże tam było przed epoką pospiesznej mechanizacji? Czy przy biurku pracowały duchy wolne, twórcze, samodzielne? Nie było to możliwe. Prócz wyjątków nielicznych, ogromna, przytłaczająca większość spełniała zawsze rolę mechaniczną, należała do świata tak czy owak zracjonalizowanej monotonji, pełniła dziesiątkami lat to samo, wciąż to samo. Jak dawniej, tak i dziś wielu, wielu niewolników biurka przywiązuje się do swoich zajęć, lubi je, lubi ten zgóry ustalony, wciąż ten sam rodzaj i plan pracy. Przypatrzcie się niewolnikowi biurka, jak zasiada do roboty, jak rozkłada papiery, jakie ma gesty, jaką minę. Automat. Nie przesunie kałamarza o milimetr, suszce wyznaczył miejsce raz na zawsze, pióra i ołówki mają leżeć tak, a nie inaczej, teczka tu, a nie gdzieindziej. Na zawsze. Jest mu z tem dobrze. Znajduje w tem przyjemność, nawet rozkosz pewną, że zamienił się w automat. Jeżeli — o zgrozo! — przesuną mu biurko, cierpi. Musi się nanowo przyzwyczajać do tej zmiany dotkliwej. Jeśli chcecie zachować jego tępy błogostan nie przesuwajcie mu biurka, nie gwałćcie jego przyzwyczajeń i codziennie o tej samej minucie, dawajcie mu herbatę.

Są też inni — zawsze niezawielka armja tych, którzy sądzą, że są „do czego innego stworzeni". O tak, dużo jest ludzi „stworzonych" do innej pracy, niż ta, którą spełniają. Na drogę niewłaściwą, nieodpowiednią, pchnął ich przypadek, albo smutna konieczność i tak — nieraz — przegrywają całe życie. Szczególnie dużo jest takich w naszych ciężkich czasach. Lecz bodaj większość zawsze niezadowolonych, sięgających wyżej i gdzieindziej, przypisuje sobie możliwości nierealne, fantastyczne. I jest przez to przygnębiona. Znałem dobrych buchalterów, którzy mówili mi, że „właściwie" stworzeni są na poetów. Nawet piszą wiersze. Złe mają samopoczucie i nie szanują swojej pracy zawodowej. A buchalter — człowiek potrzebny, niezbędny. Przykre to musi być bardzo, kiedy pracownik wmówi w siebie, że się minął z powołaniem, choć tego nie widać bynajmniej. Zapewne niemałą tu odgrywa rolę tradycyjne u nas lekceważenie pracy t. zw. szarego człowieka. Więc i ten „szary człowiek" sam nieraz wątpi o wartości i powadze swojego zawodu. Daje sobie awans wewnętrzny. Uważa się za „coś lepszego", niż jego zajęcie. I ...niepotrzebnie pisze wiersze. Niesłusznie cierpi. Cóż bardziej niedorzecznego, niż cierpienie bez powodu!...

Inna jeszcze kategorja licznie bywa przy biurkach reprezentowana. Jest słowo rosyjskie, które trudno przetłomaczyć: „ważniczajet". Możnaby powiedzieć niezbyt zręcznie: robi się ważny. Nadrabia miną, zachowuje „dystans", nadyma się. Na wyspie Jawie żyje jaszczurka zwana „Varanus salvator", która w chwilach gniewu tak się nadąć potrafi, że staje się trzy razy większa, niż normalnie i tem budzi lęk wśród innych gadów. Przytem rozwiera paszczę, syczy przeraźliwie, a ogon podnosi jaknajwyżej. W gruncie rzeczy jest słaba, lecz udaje wielką siłę. „Ważniczajet" ...Różnica pomiędzy nią, a pewnym rodzajem urzędników jest ta, że Varanus salvator nadyma się tylko wobec stworzeń silniejszych od niej, wtedy, kiedy grozi jej niebezpieczeństwo, urzędnik zaś przybiera postać groźną tylko wobec słabszych, niższych rangą, podwładnych. Ba! Co innego 10-ta kategorja, a co innego 11-ta.... Pomiędzy temi kategorjami różne pocieszne figury tworzą „dystans". Posłuchajcie, jakim tonem mi mówi kategorja 10-ta do kategorji 11-ej, kiedy wymawia słowa: „Panie kolego". Jeżeli macie dobry słuch, uchwycicie zmianę tonu, kiedy kategorja 10-ta mówi te słowa do kategorji 9-tej.

Biedni ludzie! Żałosne dystanse! Bo znowu nad kategorjami 9-tą, 10-tą, 11-tą panuje 8-ma, a nad tą znów 7-ma i tak dalej.

„Panie kolego"... Przyjemna forma, miłe słowa. Tylko te tonacje, te drobne różnice w głosie, w wyrazie twarzy, w sposobie podawania ręki...

Mały człowiek „wyżywa się" w panowaniu nad mniej „uposażonym". Czasem — różnica 10 — 15-tu złotych miesięcznie. Niby nic, ale jednak już wyżej... I już się w głupim łbie przewraca, już „fason", wyniosłość, nos do góry zadarty. Już „dystans"...

A korzysta — ten „trzeci", który nimi wszystkimi rządzi, jak chce, trzymając się starodawnej zasady: divide et impera.

Wygraliby więcej, gdyby nie dzielił ich duch „szczebli", gdyby sobie mocno powiedzieli, że pomiędzy jedną kategorją „uposażeniową" a drugą niema tak znów istotnej różnicy. I wtedy słowa „panie kolego" nie miałyby tyle różnych tonów... I ręce podawałoby się jednakowo, po ludzku.

Jeszcze odmiana inna, moralnie najgorsza: służalec. Gdzież go niema? Grasuje wszędzie, obrażając godność rodzaju ludzkiego. Nic niema w życiu bardziej plugawego, niż uśmiech służalca. Ta sama twarz, surowa i groźna wobec słabszego, robi się wobec silniejszego potulna, lękliwa i słodka. Co za słodycz odrażająca! Dziwią mnie ludzie, którzy lubią posługiwać się służalcami, nie widząc własnego niebezpieczeństwa w korzystaniu z usług człowieka fałszywego. Służalec jest zawsze fałszywy. Niech tylko temu, któremu schlebia, przed którym się płaszczy, powinie się noga! Służalec zdradzi go natychmiast, węsząc i kombinując, komu skolei płaszczyć się należy. Gdziekolwiek pracowałem, rozporządzając jakąś „władzą", dla jednych tylko ludzi nie miałem litości żadnej: dla służalców. W rozmowie z nimi chwytały mnie mdłości.

Różne są rodzaje ludzi przy biurkach i możnaby o nich pisać całe tomy. Tu tylko — dotknięcie tematu. Dla wniosku: powody upośledzenia tych ludzi tkwią również w nich samych.

Józef Wasowski.

Śród przekładów

Sprawa przekładów z literatur obcych należy u nas oddawna do dziedziny zagadnień, które się porusza nieustannie, ale — bez widomego skutku. Chaos panuje po dawnemu. Z zestawień „Instytutu bibljograficznego" przy Bibljotece Narodowej wypada, że w r. 1933-cim wydaliśmy 482 utwory powieściowe a w tem aż 208 powieści cudzoziemskich. Wykaz ten świadczy niewątpliwie, że nasza twórczość orygnalna nie jest dostateczna ilościowo: ale pobieżne rozejrzenie się w materjale przekładowym doprowadza do wniosku, że to, co nam wydawcy przyswajają z wszechświatowej produkcji literackiej, składa się przeważnie z objektów słabych. Nadto do bylejakiego wyboru przybywa jeszcze klęska druga a mianowicie: licha przeważnie f o r m a przekładów. Niesumienność niektórych wydawców szuka tłomaczów jak najtańszych. Korzysta z obfitej podaży dyletantów, nieznających dokładnie ani języka oryginału, ani języka polskiego. Takie nędzne przekłady stają się śród szerokiej publiczności rozsadnikiem polszczyzny zaniedbanej, sfałszowanej, rojącej się od błędów gramatycznych i stylowych.

W nadmiernym dopływie powieści cudzych niema żadnej myśli organizacyjnej. Wydawcy nie zdają sobie sprawy, że dobry przekład jest rzeczą trudną, wymagającą specjalnych uzdolnień i — pracy krytycznej. Trzeba znać wszystkie odcienie wyrazów i synonimów języka własnego; trzeba pojmować nie tylko znaczenie wyrazów obcych, ale — ich ducha, ich barwę w życiu obyczajowem, rozumieć właściwy sens wyrazów lokalnych, przysłowiowych; wreszcie — należy posiadać dość zmysłu artystycznego, aby tworzyć żywe transpozycje myśli, nastrojów i obrazów.

Warunkom takim odpowiedzieć może literat zawodowy. Niestety, Polska jest krajem, w którym znikoma ilość literatów może się utrzymać z pracy twórczej; znakomita większość opierać musi swój byt na jakiejś stałej „posadzie". Jasnem jest, że pisarz, który posiada „posadę", dającą mu dostateczne utrzymanie, tylko w wyjątkowych wypadkach przyjmie propozycję przekładu. Wie dobrze, że zadanie tego typu wymaga specjalnego wysiłku, któryby musiałby być odpowiednio honorowany a wydawcy płacą właśnie tłomaczom honorarja niewiarogodnie niskie. Do podobnego przedsięwzięcia zmusić może konieczność życiowa literata, który żadnej „posady" nie posiada i nie może być nawet zapisany do ubezpieczalni społecznej. Im doskonalszy będzie jego przekład tej lub owej książki, tem większą ponieść musi ofiarę osobistą na rzecz... wydawcy. W takich warunkach ilość dobrych przekładów musi być u nas niewielka.

Wacław Rogowicz przetłomaczył obszerną opowieść Aragona p. t. „D z w o n y B a z y l e i" (wyd. J. Przeworskiego, Warsz. 1935, str. 414). Rogowicz zna wybornie kilka języków a ponieważ sam jest poetą, powieściopisarzem i wytwornym krytykiem, więc tłomaczy znakomicie. Umie subtelnie rozróżniać wartość słów, umie odnajdywać w polskiem życiu odpowiedniki wszelkich właściwości i odrębności djalogu cudzoziemskiego. W „Dzwonach Bazylei" znalazł materjał niewdzięczny, bo autor tej powieści nie dba o styl: pisze zdaniami urywanemi, zbudowanemi pośpiesznie, niekiedy stłoczonemi nadmiernie. Aragon jest realistą typu powojennego. Każdą rzecz nazywa po imieniu, jaskrawo, często brutalnie, używając umyślnie zaniedbanego nieraz języka mieszczaństwa paryskiego. Język ten odtwarza Rogowicz swobodnie, wyraziście i dosadnie.

„Dzwony Bazylei" — to próba syntetycznego obrazu społeczeństwa paryskiego w ostatnich dwudziestu latach przed wojną. Wydarzenia natury społecznej łączy luźnie historja uczuciowa dwóch kobiet: paryżanki, Djany de Nettencourt, przebywającej w atmosferze moralnego rozkładu mieszczaństwa i — Katarzyny Simonidza, gruzinki, mieszkającej z matką w Paryżu. Obie kobiety pogrążone są w zupełnym bezładzie płciowym, ale różnią się od siebie głęboko zarówno charakterami, jak stosunkiem do życia. Djana, mało świadoma istoty bagna moralnego, w którem zabrnęła, poddaje się wypadkom z zupełną beztroską; Katarzyna, którą pożera szalony temperament, nosi w sobie zaranie buntu przeciw całemu ustrojowi społecznemu i szamocze się tragiczne w różnych poczynaniach mniej lub więcej rewolucyjnych, do których niema ani siły, ani dostatecznego przygotowania. Żywot Djany staje się koniecznością śród potwornych stosunków obyczajowych w społeczeństwie paryskiem; Katarzynę wprzęga Aragon do walk anarchistów, socjalistów i związków zawodowych. I tu dopiero, w drugiej części opowiadania odsłania autor własne oblicze bojownika za lepszą przyszłość społeczną. Rozpłomienia się sam, gdy opisuje wydarzenia mniej więcej historyczne, w których brał udział. „Powiedzą — mówi w ciągu opowiadania—że autor się gubi i autor nie będzie temu przeczył. Świat, czytelniku, jest według mnie źle zbudowany, jak źle jest zbudowana według ciebie moja książka". Entuzjazm dla sprawy reformy społecznej budzi w Aragonie znanego poetę w zakończeniu powieści. Symbolika dzwonów katedry Bazylejskiej głoszących ludzkości groźne memento przed samą wojną wszechświatową, jest fragmentem szczerze poetyckim. Odrodzi ludzkość według Aragona — nowa kobieta. Sylwetki wybitnych działaczów francuskich przesuwa autor pobieżnie, ale jego obrazy życia burżuazji francuskiej są plastyczne i żywe, pomimo wyraźnej tendencji w ich zestawieniu.

Gorącą troskę o doskonałość przekładu znajdziemy również u Pawła Hulki - Laskowskiego, wybitnie uzdolnionego i pracowitego krytyka, okazującego szerokie i głębokie zainteresowanie filozoficzne, społeczne i etyczne. Hulka - Laskowski skłonny jest wierzyć, S. I. Witkiewiczowi, że „główną rzecz w powieści stanowi treść, nie zaś forma" (patrz „Nowa książka", zeszyt 7, 1935). Stare to zagadnenie warto odświeżyć nową dyskusją, którą podjąć zamierzam w niedalekiej przyszłości w „Echu Społecznem". Narazie poprzestanę na twierdzeniu, że wszelka sztuka (a więc i sztuka powieściowa) objawia się przedewszystkiem f o r m ą, co nie znaczy, aby się dało oderwać formę od treści.

Pomiędzy jednym a drugim elementem opowiadania istnieć musi najusilniejszy związek; najlepsza i najgłębsza treść nie będzie miała nic wspólnego ze sztuką bez doskonałej formy. Mam właśnie przed sobą przekłady dwóch powieści Karola Capka, dokonane przez Hulkę-Laskowskiego: „M e t e o r" (wydawnictwo J. Przeworskiego, 1935 rok, Warszawa) i „H o r d u b a l" (wydanie tegoż, rok 1935). W obu sztukach to, co się nazywa pospolicie t r e ś c i ą, zredukować można do minimalnych rozmiarów. Istotna treść zaś opowiadań mieści się raczej w gatunku formy, jaką im nadał autor, najwybitniejszy dziś powieściopisarz czeski, dla którego rodacy chcieliby pozyskać nagrodę Nobla. Hulka-Laskowski wartość obu utworów zrozumiał właściwie t. j. wbrew swojej teorji o roli treści, gdyż główny nacisk położył na te fragmenty opowiadań Capka, w których święci trjumfy jego f o r m a. Hulka-Laskowski formę tę wydobył z rzetelnym kunsztem i precyzją. Z samej t r e ś c i nie wiele można się dowiedzieć o pięknie utworu Capka.

Oto np. „Meteor": Na jakiejś wyspie podzwrotnikowej, podczas huraganowej wichury, spada płonący samolot. Jeden lotnik jest zupełnie zwęglony, drugi zaś tak poparzony, że niepodobna dojrzeć jego twarzy. Przynoszą go nieprzytomnego do szpitala, w którym lekarze nie mają najmniejszej nadziei, aby go ocalić. Nie znaleziono przy chorym żadnych dowodów osobistych, obecni więc lekarze i pacjenci gubią się w domysłach, kto to być może. Siostrze miłosierdzia ukazał się poparzony lotnik w e ś n i e i opowiedział jej swoje dzieje. Jeden z pacjentów, jasnowidz odtwarza również żywot nieszczęsnej ofiary. Obie te wersje są sztuczne i cokolwiek wymuszone. Dopiero wersja trzecia, którą stworzył drugi pacjent, poeta, stanowi główną treść opowiadania i okazuje w całej pełni piękny talent Capka. Bogata wyobraźnia, połączona z wysoką kulturą umysłową, stwarza obrazy niezwykłej oryginalności i wielkiego polotu myśli. F o r m a opowiadania wysuwa się właśnie na plan pierwszy.

(Dokończenie nastąpi).

Jan Lorentowicz

PIĘKNY DOM SPOŁECZNY W TORUNIU.

W dn. 11 listopada ub. r. odbyło się w Toruniu otwarcie Domu Społecznego. Piękny gmach wybudowany z dobrowolnych ofiar miejscowego społeczeństwa, oraz przy pomocy Funduszu Pracy, mieści w sobie wszystkie władze okręgowe Związków społecznych. Otwarcia dokonał J. E. Ks. Biskup Okoniewski w otoczeniu władz cywilnych i wojskowych na czele z wojewodą pomorskim p. Kirtiklisem oraz generałami Maksymowicz Raczyńskim i Millerem. Piękny ten gmach wybudowany został w pobliżu budującej się nowoczesnej alei 700-lecia Torunia, która z przylegającym nowym mostem im. Marszałka Piłsudskiego — daje piękny widok, oraz wygodną komunikację, łączącą Dworzec — Przedmieście ze śródmieściem. Dom Społeczny otrzymał imię Wodza Narodu — Józefa Piłsudskiego.

Chaos w dziedzinie ubezpieczenia pracowników samorządowych

W myśl przepisów art. 6 b. ustawy o ubezpieczeniu społecznem w brzmieniu Rozp. Prezyd. Rzeczyposp. z dnia 24.X 34 r. (Dz. U. R. P. Nr. 95, poz. 855) pracownicy związków samorządowych oraz pracownicy przedsiębiorstw i zakładów tych związków mogą być zwolnieni z ubezpieczenia emerytalnego i na wypadek choroby, jeżeli na mocy statutu, zatwierdzonego przez władzę nadzorczą tych związków samorządowych:

1) przysługuje im prawo do świadczeń niemniejszych i na warunkach nie gorszych od przewidzianych w ustawie o ubezpieczeniu społecznem,

2) uprawnienia te przysługują wszystkim pracownikom, odpowiadającym warunkom przewidzianym w art. 2 ustawy z uwzględnieniem art. 5, 6 i 6-a, którzy zatrudnieni są dłużej niż rok w tym samym związku samorządu terytorjalnego, w jego przedsiębiorstwie lub zakładzie.

Art 3 wspomnianego na wstępie Rozporządzenia Prez. Rzeczyposp. postanawia dalej, że związki samorządowe, które w okresie od dnia 1.I. 34 nie zgłosiły do Ubezpieczalni Społecznej tych swoich pracowników, którzy byli objęci statutami emerytalnymi, wolne są od obowiązku uiszczania za tych pracowników zaległych i bieżących składek z tytułu ubezpieczenia emerytalnego, jeżeli wobec tych pracowników do dnia 1.VII 35 znajdą zastosowanie przepisy art. 6 b. ustawy o ubezpieczeniu społecznem

Związki samorządowe województwa Poznańskiego skorzystały z przyznanego im w myśl cytowanych wyżej przepisów prawa zwolnienia swoich pracowników z obowiązku ubezpieczenia w Ubezpieczalni Społecznej, powierzając opracowanie ramowego statutu czynnikom nadzorczym. Ponieważ zaś związki samorządowe posiadają znaczną liczbę pracowników stałych, tak zwanych etatowych, którzy byli już objęci specjalnymi statutami emerytalnemi, należało w celu uwolnienia się od obowiązku płacenia składek emerytalnych do Ubezpieczalni Społecznej wprowadzić w życie nowe statuty w sprawie pomocy leczniczej oraz świadczeń na wypadek niezdolności do zarobkowania lub śmierci jeszcze przed 1.VII 1935, zgodnie z art. 3 Rozp. Prez. Rz. z dnia 24.X 1934, co też nastąpiło. Wszystkie Wydziały Powiatowe oraz przeważająca część Zarządów Miejskich doniosły Ubezpieczalni Społecznej w ostatnich dniach czerwca b. r. (w niektórych wypadkach doniesienia te wpłynęły po 1 lipca b. r.) o uchwaleniu przez odnośne organa samorządowe statutów, opartych na statucie ramowym, jak również o zatwierdzeniu uchwalonych statutów przez Urząd Wojewódzki. Stwierdzono jednak z nadesłanych odpisów dekretów zatwierdzających, że zawierają one wszystkie zastrzeżenia, wyłączające z pod działania omawianych statutów ubezpieczenia na wypadek niezdolności do zarobkowania lub śmierci wskutek wszelkich przyczyn (ubezp. emerytalnego) odnośnie do pracowników kontraktowych.

Ubezpieczalnie Społeczne nie zajęły w sprawie ewent. zwolnienia pracowników samorządowych z obowiązku ubezpieczenia żadnego stanowiska, gdyż według specjalnych zarządzeń, ostateczną decyzję w tej sprawie miały powziąć władze nadzorcze Ubezpieczalni Społecznych, co jednak do tej chwili nie nastąpiło.

Nie oceniając narazie, czy takie załatwienie sprawy przez związki samorządowe jest zgodne z przepisami art. 6 b. ustawy o ubezpieczeniu społecznem, które wyraźnie postanawiają, że uprawnienia wynikające ze statutu winny przysługiwać wszystkim pracownikom odpowiadającym warunkom — przewidzianym w art. 2 z uwzględnieniem art. 5, 6 i 6 a, a zatem zarówno pracownikom stałym jak i kontraktowym, należałoby jednak poświęcić kilka uwag nowemu stanowi rzeczy.

Oto kilka wydarzeń z małego odcinka Województwa Poznańskiego.

Wydziały Powiatowe oraz Zarządy Miejskie zaczęły organizować z dniem 1 lipca b. r. własną pomoc leczniczą. Ponieważ nie wszyscy pracownicy związków samorządowych o zaszłych zmianach zostali powiadomieni, zgłasza się część tych pracowników po pomoc leczniczą w dalszym ciągu w Ubezpieczalni Społecznej, która wobec wprowadzenia przez związki samorządowe statutów początkowo odmawiała świadczeń. Dopiero po telefonicznem porozumieniu się z Zakładem Ubezpieczeń Społecznych postanowiła udzielać pracownikom samorządowym pomocy leczniczej, aż do wydania ostatecznej decyzji przez władze nadzorcze, o czem zakomunikowano lekarzom domowym oraz zainteresowanym związkom samorządowym. Od tej chwili pracownicy samorządowi korzystają ze świadczeń leczniczych różnych instytucyj, jedni na rachunek związków samorządowych, organizujących w dalszym ciągu własną pomoc leczniczą, inni zaś na rachunek Ubezpieczalni Społecznej, która w myśl poleceń swych władz nadzorczych — nie odmawia świadczeń. Wszystkie instytucje stosują jednak pewną ostrożność przy udzielaniu świadczeń, zwłaszcza gdy chodzi o świadczenia droższe (szpitale, sanatorja, zasiłki i t. p.). W pewnym wypadku został jeden z pracowników samorządowych przekazany do sanatoryjnego leczenia na rachunek Zarządu Miejskiego, następnie jednak zwrócił się ten sam pracownik w celu przedłużenia rozpoczętego leczenia do Ubezpieczalni Społecznej, która prośby jego z przyczyn już podanych nie uwzględniła.

Znane są pozatem liczne inne wypadki nieuzyskania przez pracowników samorządowych potrzebnych świadczeń tylko z tego powodu, że sprawa ich ubezpieczenia nie została dotąd definitywnie zadecydowana. Zabrakłoby niewątpliwie miejsca na opisanie wszystkich trudności, spotykanych przez rzeszę pracowników samorządowych.

Z powodu nieotrzymania zapowiedzianych instrukcyj Ubezpieczalnia Społeczna w dalszym ciągu wymierza składki za wszystkie rodzaje ubezpieczeń, na co oczywiście nie godzą się odnośne związki samorządowe, zarzucające Ubezpieczalni Społecznej bezprawie i brak kompetencji do rozstrzygania spraw przesądzonych jakoby samym przepisem ustawy. Nie brak również stanowczych protestów, w których związki samorządowe usiłują przerzucić odpowiedzialność za skutki obecnego niewyjaśnionego stanu na Ubezpieczalnię Społeczną, — stwierdzając jednocześnie, że stan ten wskutek niemożności zawierania koniecznych umów z lekarzami, aptekami i t. p. powoduje poważne koszty.

Daje się pozatem zauważyć pewną rozbieżność poglądów co do zakresu osób mających być objętymi statutem. Niektóre związki samorządowe bowiem objęły statutem wszystkich pracowników, zatrudnionych dłużej niż rok w tym samym związku samorządowym, zarówno umysłowych, jak i fizycznych, inne natomiast obejmują statutem tylko pracowników umysłowych, ubezpieczając pracowników fizycznych w dalszym ciągu w Ubezpieczalni Społecznej.

Wszystkie te fakty świadczą, wymownie o chaosie, panującym w dziedzinie ubezpieczenia pracowników samorządowych, wywołanym zbyt pośpieszną realizacją nowych przepisów.

Ostateczne rozstrzygnięcie tego zagadnienia jest zatem kwestją palącą. Rychłe wyjaśnienie tej sprawy leży przedewszystkiem w interesie pracowników samorządowych oraz ich rodzin, którzy w obecnym stanie rzeczy niewiadomo gdzie szukać mają pomocy leczniczej, co naraża ich na niepowetowane straty. Uregulowanie winno nastąpić jaknajrychlej.

Chaos panujący w dziedzinie ubezpieczenia pracowników samorządowych potęguje się z każdym dniem i dziś już nie ulega wątpliwości, że, jakakolwiek będzie decyzja miarodajnych władz w omawianej wyżej sprawie, to w każdym razie rozliczenie, które musi nastąpić między Ubezpieczalnią a związkami samorządowymi odnośnie świadczeń leczniczych udzielanych po 1 lipca b. r., będzie niezmiernie trudne i prawdopodobnie narazi znowu jedną ze stron na poważne straty materjalne.

L. M.

O czem wiedzieć należy

WAŻNA OKOLICZNOŚĆ W SPRAWACH SĄDOWYCH

o nieubezpieczanie pracowników przez pracodawców.

Pracownik wystąpił przeciwko pracodawcy, żądając odszkodowania za niezgłoszenie go do ubezpieczenia w Z.U.P.U., wskutek czego po zwolnieniu z pracy odmówiono wypłacenia mu zasiłków na wypadek bezrobocia. Sąd Pracy powództwo uwzględnił, Sąd Okręgowy wyrok ten zatwierdził, uważając, iż jako pracownik umysłowy, winien był być zgłoszony do Z.U.P.U.

Sprawa oparła się o Sąd Najwyższy, który orzekł, że art. 112 Ustawy o ubezpieczeniu pracowników umysłowych przewiduje odpowiedzialność materjalną pracodawcy za szkody wyrządzone pracownikowi, wynikłe z zaniedbania zgłoszenia go do ubezpieczenia. **Sąd winien,** zdaniem Sądu Najwyższego, **zbadać** przedewszystkiem przed wydaniem orzeczenia, **czy niezgłoszenie pracownika, podlegającego go obowiązkowi ubezpieczenia, naraziło go na szkody materjalne.**

Jak wynika z tego orzeczenia Sądu Najwyższego, pracownicy, którzy występują na drogę sądową przeciwko pracodawcom z tytułu zaniedbania przez tych ostatnich ubezpieczenia pracowników, muszą dokładnie określić w skardze, jakie i w jakiej wysokości ponieśli straty materjalne.

A WIĘC NIE WOLNO OBNIŻAĆ ZAROBKÓW PRACOWNICZYCH.

Nie mieliśmy żadnych wątpliwości, że oficjalnie uznana sytuacja „kryzysowa" w Polsce zostanie wykorzystana przez nieuczciwych pracodawców w kierunku przeprowadzenia nowych oszczędności w kalkulacjach handlowych kosztem, oczywiście, zarobków pracowniczych.

Metoda to w skutkach niezawodna i łatwa do przeprowadzenia wobec panujących u nas w świecie pracy najemnej stosunków, godnych białego niewolnictwa.

Nie spodziewamy się, niestety, zbyt pomyślnych skutków praktycznych po wydanym w ostatnich tygodniach okólniku Ministerstwa (Pracy? i) Opieki Społecznej do inspektorów pracy, polecającym tym ostatnim wszczęcie akcji zapobiegawczej przed obniżaniem płac pracowniczych i zarobków robotniczych, czy to w drodze indywidualnych i zespolonych obniżek poborów pracowniczych, czy to w drodze indywidualnych i zespolonych obniżek poborów pracowniczych, czy też w drodze wypowiadania robotniczych umów zbiorowych lub masowego przenoszenia robotników do niższych kategoryj zarobków w ramach obowiązującej w danym czasie umowy.

Usiłowania inspektorów pracy, podejmowane po myśli tego okólnika, wywrą wówczas jedynie ważki wpływ na zabezpieczenie płac i zarobków przed atakami wiecznie nienasyconego kapitału, o ile organizacje i związki zawodowe pracownicze i robotnicze sprzeciwiać się będą kategorycznie i bezkompromisowo każdorazowemu, bez wyjątku, usiłowaniu pracodawców pogorszenia materjalnych warunków bytu świata pracy.

ANALIZA CYFR.

Nie o wiele zapewne omylimy się, ustalając kwotę zaległości z tytułu niewpłaconych przez pracodawców należności ustawowych na rzecz ubezpieczeń społecznych w Polsce za rok 1935 na ± 150 miljonów złotych. Jest to suma obejmująca zarówno należności od pracodawców, jak i kwoty, potrącone przez pracodawców pracownikom (fizycznym i umysłowym).

A więc o około 0.5 miljona złotych d z i e n n i e pracodawcy krzywdzą ubezpieczenia społeczne w Polsce. Nie wykonywując obowiązków ustawowych, bądź całkowicie i stale, bądź też częściowo tylko i okresowo — pracodawcy wychodzą z opresji dłużnika przeważnie bezkarnie i bez szwanku; tracą i niszczeją tylko ubezpieczenia społeczne. Z doświadczenia wiedzą pracodawcy, że zaległe składki i kary za zwłokę będą im rozkładane na dogodne spłaty, aż wreszcie z tego lub innego tytułu bądź umorzone, bądź wydatnie ścięte. Przeto... poco płacić?

Sprytnie tę walkę z ubezpieczeniami społecznemi urządziły nasze lewjatany, wprowadzając do ciał rewizyjnych w instytucjach ubezpieczeń społecznych swych odpowiednio dobranych i wyszkolonych przedstawicieli, których zadaniem jest przedewszystkiem ochrona kabzy pracodawców. Nic tedy dziwnego, że sumy t. zw. „nieściągalne", powstałe z zaległych składek, stale wzrastają, a umarzania „nieściągalnych" zobowiązań sięgają jednorazowo niekiedy miljonów złotych.

W tej walce kapitału z ubezpieczeniami społecznemi nie jest dla nas zrozumiałe stanowisko ubezpieczalni społecznych, do których obowiązków należy m. in. wymiar i ściąganie składek ustawowych. Działalność ubezpieczalni w tej dziedzinie odznacza się — w ujęciu ogólnem — zbiurokratyzowaną martwotą i zupełną dla sprawy obojętnością. Ubezpieczalnie społeczne nie mają chęci, czy też odwagi położenia nacisku w drodze planowej i konsekwentnie przeprowadzonej akcji na stopień wypłacalności opornych płatników. Znamy nawet wypadki uchylania się przez resortowe organa ubezpieczalni społecznych podejmowania konkretnych prac, zmierzających do spotęgowania wpływów gotówkowych z tytułu składek pracodawców.

Nie wyrażajmy przeto zdziwienia i zaskoczenia, patrząc na wzrastającą stale cyfrę zaległości ubezpieczeniowych. Objaw ten tłumaczyć nam będą: To kryzys. To trudności na rynku gospodarczym. To jedyny sposób ratowania zakładów pracy przed zagładą... I to zakłamanie istotnego stanu rzeczy, ta milcząca zgoda na tego rodzaju tłumaczenie przez opinję społeczną ciosów, zadawanych w materjalne podstawy bytu ubezpieczeń społecznych, są dla tych ostatnich najgroźniejsze i wręcz katastrofalne.

W istocie, nasz rynek gospodarczy i finansowy toczy już oddawna nietylko czerw kryzysu ekonomicznego, ale przedewszystkiem kryzysu uczciwości w obrocie i w dobrych obyczajach. Nie są przecież zbyt już dzisiaj rażące nas fakty — jakże liczne! — niedotrzymywania zawartych porozumień, niepłacenia przyjętych zobowiązań, niewykonywania przepisów ustaw, zwłaszcza, gdy chodzi o świadczenia pieniężne, czy to na rzecz państwa, samorządu, czy też ubezpieczeń społecznych. Przedsiębiorca, czy też fabrykant zatrudnia pracowników, wytwarza objekty zbytu, sprzedaje swą wytwórczość, oczywiście, z jak największym dla siebie zyskiem, a gdy zachodzi o b o w i ą z e k regulowania należności z tytułów podatkowych, czy też ustaw społecznych — powstaje nagle próżnia i... bogaty do ostatniej chwili kapitalista przeistacza się nagle w biedną, zrujnowaną, ofiarę kryzysu ekonomicznego.

Czas już najwyższy, aby zarówno władze nadzorcze, jak i instytucje ubezpieczeń społecznych głośno zapowiedziały pracodawcom (i zapowiedzi tej dotrzymały): Dosyć tych komedyj, dosyć oszustw i podstępów. Ubezpieczenia społeczne nie będą nadal odgrywały roli osobnika upośledzonego, okradanego w sposób wyrafinowany przez własne jego otoczenie!

Już czas najwyższy, aby kierownictwa ubezpieczalni społecznych zrozumiały, że przez swą bierność i nieudolność w terminowem i należytem ściąganiu składek od pracodawców niszczą coraz bardziej instytucję sprawiedliwości społecznej, powierzoną ich pieczy i uczciwości.

Najwyższy to już czas, aby „komisaryczne" rządy usunięte zostały z terenu ubezpieczeń społecznych jako, że klęskę tym instytucjom zadają, a wprowadzony został samorząd, umożliwiający czynnikom obywatelskim roztoczenie należytej opieki nad tym organizmem dobra społecznego, który stanowi bezsporną zdobycz polskiego świata pracy.

Omikron.

O hasło jednolitego frontu robotniczo-pracowniczego

(Artykuł dyskusyjny)

Pracownicy umysłowi stanowią najbardziej zamazaną masę społeczną. Wparci między proletarjat i burżuazję, rozbici na grupy, grupki i grupeczki różnicami kwalifikacyj zawodowych, wielością odmian pracy i wysokością otrzymywanego za nią wynagrodzenia, podlegają oni skomplikowanemu działaniu sił dośrodkowych i odśrodkowych, zewnętrznych i wewnętrznych.

Łączy ich wszystkich to, że są pracownikami najemnymi lecz stosunek najmu rozmaicie ich urabia.

„Góra" pracowników umysłowych, panowie dyrektorzy, kierownicy, szefowie i t. p., doskonale przeważnie opłacani, obdarzani nadto sutemi dodatkami do normalnych sum miesięcznych, swym interesem klasowym i swą stopą życiową związani są z burżuazją: „góra" ciąży przeto psychicznie do burżuazji i jest przez nią bez reszty wchłaniana.

„Doły" — najliczniejsze — pracowników umysłowych, które głodowe pensyjki i nieograniczona zależność od pracodawcy spychają ku proletarjatowi, w olbrzymiej swej większości bronią sią psychicznie przeciwko tej konieczności i czynią nadludzkie nieraz wysiłki, by utrzymać się na powierzchni życia burżuazji: biały kołnierzyk przy pracy, groteskowo drobny szczegół, stał się symbolem tragicznych zmagań.

Między „górą" i „dołami" znajduje się — fizycznie i psychicznie — warstwa pośrednia, centrum pracowników umysłowych, oscylujące w tym lub w tamtym kierunku, mniej lub więcej, łagodniej lub ostrzej.

W tej rozerwanej dążeniami antagonistycznemi masie społecznej wyodrębnia się pozornie jednolita wielka grupa urzędników państwowych: pozór jednolitości sugeruje narzucona na nią ideologiczna zależność od państwa, owa prawomyślność, która wymagana jest niemal jako kwalifikacja zawodowa urzędnika państwowego, a która wyklucza możność jakiejkolwiekbądź opozycji wobec pracodawcy, będącego regulatorem w dziedzinie stosunków pracy Pod tą atoli pozorną jednolitością zewnętrzną sprzeczności wewnętrzne zachowują swą pełną moc i wyodrębnienie w masie pracowników umysłowych urzędników państwowych, sztucznie stworzone. troskliwie konserwowane, okazuje się iluzją przy każdym dotkliwszym nacisku na tę wyodrębnioną grupę: „doły" urzędników państwowych zlewają się z „dołami" urzędników instytucyj prywatnych, samorządowych społecznych.

Nieunikniony w swoich przyczynach i katastrofalny w swoich skutkach gospodarczych wstrząs wojny światowej ujawnił rozkład ustroju kapitalistycznego, wspieranego w swych podstawach podkopującemi je środkami. Chroniczne bezrobocie i najściślej z niem związana, niedająca się opanować pauperyzacja olbrzymich rzesz pracujących domagają się, jako zjawisko społeczne, należytego zrozumienia go i czynnego ustosunkowania się do niego jednostki i mas.

Należyte zrozumienie tego zjawiska i czynne ustosunkowanie się do niego ma tylko proletarjat, stanowiący liczebnie i społecznie decydującą w obecnym okresie siłę dziejową. Żaden przeto odłam pracowniczy nie może poza proletarjatem skutecznie przeciwstawić się niszczycielskim wpływom przeżywanego po wojnie kryzysu ekonomicznego. Stąd krwią wzburzonego życia tętniące hasło jednolitego frontu robotniczo-pracowniczego. Rozbrzmiewa ono we wszystkich krajach, padło i u nas, w atmosferze wrzenia, wywołanego ostatniemi, boleśnie w ogół pracowników umysłowych godzącemi rozporządzeniami i rygorami.

„Góra" pracowników umysłowych nie słyszy tego hasła. „Doły" milczą tajemniczo. Odezwało się na nie „centrum".

W Nr. 13-ym „Echa Społecznego" ukazał się niezmiernie pod tym względem ciekawy artykuł Jana Olskiego. Autor z szerokiej płaszczyzny zagadnienia społecznego zeszedł na wąską kładkę analizy stosunków partyjnych. Z faktu, że „conajmniej cztery politycznie określone organizacje robotnicze mają obecnie prawo, zwyczaj i tradycję przemawiania i pertraktowania w imieniu robotnika polskiego", oraz ze stwierdzenia, iż „proces regulacji stosunków organizacyjnych" wśród pracowników umysłowych nie został ukończony, wyciągnął p. Olski konsekwencję, którą zawarł w tytule swego artykułu: „Jeszcze zawcześnie..." Jeszcze zawcześnie na realizację hasła jednolitego frontu robotniczo-pracowniczego!

Autor każe czekać. Autor wierzy w Czas (przez duże C) i w Ludzi (przez duże L). Lecz historja nie umie czekać. Historja wysuwa zagadnienia, które muszą być rozwiązane. Historja łączy grupy, odłamy, stronnictwa i partje, jeśli życie tego żąda, rozbija zaś całości, które z żądaniami życia są w sprzeczności.

Część pracowników umysłowych uświadamia to sobie. Ta część chce czuć realną siłę każdego swego wystąpienia zbiorowego. Ta część mniej obawia się groźby: „jeszcze zawcześnie", niż żalu: „już zapóźno..." Ta część przełamała w swojej inteligenckiej, trudnej do przełamania psychice bierność i niepewność. Ta część z ufnością wyciąga rękę do naturalnego sojusznika, od którego spodziewa się pomocy i któremu wzamian lojalnie przyrzeka wytrwanie przy wspólnym sztandarze.

Marja Przedborska.

Międzynarodowy hołd wskrzesicielowi Polski

Miesięcznik „Pologne Littéraire", w ciągu dziewięciu lat swego istnienia, stał się jedynem stałem źródłem obszernych i regularnych informacyj dla zagranicy o tem co Polska ma do pokazania światu z dawnego i dzisiejszego dorobku w dziedzinie twórczości artystycznej. Propagandowe dychawiczne czasopisma polskie, wydawane w Paryżu, dziesiątki lat licząca, perjodyczna, ale szczupła kronika literatury polskiej w „Mercure de France", dział polski w „Slavische Rundschau", artykuły i Polonica, ukazujące się sporadycznie w prasie literacko-artystycznej różnych krajów, podlegając zmiennym konjunkturom politycznym, odbijającym się na stosunku do Polski danej redakcji, i nie mając gwarancji należytego zasięgu, nie mogą spełniać tej roli propagandowej, jaką może grać dobrze kolportowany miesięcznik, drukujący w kilku głównych językach europejskich prace o Polsce autorów cudzoziemskich w oryginale, lub polskich w przekładzie, oraz tłumaczenia wybitnych utworów naszej literatury, obficie i umiejętnie zilustrowane.

„Pologne Litteraire", stając się takim organem rzeczowych i objektywnych informacyj dla obcych, w miarę swego rozwoju przekraczała ramy zakreślone w założeniu, i sam tytuł perjodyku okazał się bodaj od początku zbyt ciasny, gdyż — jeśli mnie pamięć nie zawodzi — już w pierwszym roczniku **Polska Literacka** poza literaturą prezentowała zagranicy w artykułach informacyjnych, w studjach i ikonografji również polskie malarstwo, rzeźbę, grafikę, architekturę, teatr, muzykę, choreografję. Gdyby tytuł tego miesięcznika miał odpowiadać zakresowi treści, należałoby do „Pologne Littéraire" dodać „et Artistique".

Ale pismo żywotne i aktualne zazwyczaj przerasta treścią zakreślone pierwotnie granice swych zainteresowań. Jeśli powodowane chwalebną ambicją, wyręcza w propagandzie brak inicjatywy i gorliwości wydawnictw o nieskrępowanym tematami charakterze, należy tylko przyklasnąć takiemu wysiłkowi i podnieść z całem uznaniem jego wagę i zasługę.

Redakcja „Pologne Litteraire" złożyła świeżo dowód niezwykłej sprężystości, zrozumienia roli celowej propagandy i wyczucia znaczenia historycznego momentu w dziejach Polski: wydała numer specjalny, poświęcony pamięci Marszałka Piłsudskiego — po kilkomiesięcznem przygotowaniu. Ktokolwiek ma pojęcie o pracy redakcyjnej i weźmie ten numer do ręki, zrozumie, że taki okres czasu na opracowanie go nie był długi: 20 kolumn druku, prace 52 autorów, należących do 21 narodów, około 100 ilustracyj, związanych z życiem i dziełem Józefa Piłsudskiego. Zabrali tu głos wyłącznie **cudzoziemcy:** wodzowie, mężowie stanu, wybitni uczeni, publicyści i literaci — i dlatego numer ten, który zdobył wielki rozgłos w prasie zagranicznej, słusznie może być nazwany międzynarodowym hołdem dla Wskrzesiciela Polski.

Uczestnicy wyrazili go w pięciu najbardziej rozpowszechnionych w świecie językach: angielskim, francuskim, niemieckim, hiszpańskim i włoskim. Znajdujemy tu myśli i uczucia, jakie zgon Wodza narodu, reaktywowanego dla dziejów Europy, wywołał u wybitnych jednostek Francji, Anglji, Włoch, Portugalji, Hiszpanji, Grecji, Japonji, Jugosławji, Rumunji, Czechosłowacji, Szwecji, Danji, Norwegji, Finlandji, Łotwy, Estonji, Austrji, Węgier, Szwajcarji, Holandji i Belgji (wyliczam według kolejności układu redakcyjnego tekstów).

Reprezentacja... dwudziestu narodów europejskich i Japonji, której przedstawiciel, Koki Hirota, minister spraw zagranicznych, w krótkiem ale gorącem epitafjum skreślonem po angielsku, wspomina, jak będąc studentem, poznał w Tokio podczas wojny rosyjsko-japońskiej przywódcę, wówczas jeszcze konspiracyjnej akcji, mającej na celu wywalczenie ojczyźnie niepodległości (jak wiadomo, oferty Piłsudskiego wywołania dywersji zbrojnej na tyłach rosyjskich, ówczesny rząd japoński nie przyjął). Hirota tak kończy swe wspomnienie pozgonne: „Za jego niezwykłe czyny i za jego gorące uczucia dla Japonji, ten największy z polskich bohaterów trwać będzie wieczyście w pamięci nas wszystkich".

W dziennikarskiem sprawozdaniu z „Marszałkowskiego" numeru „Pologne Littéraire" niepodobna omawiać 52 artykułów, choćby się je dość gruntownie poznało (przebywając parę tygodni na kuracji poza Warszawą, zrobiłem sobie z tej publikacji porcję codziennej wywczasowej lektury); powstrzymuje mnie od tego jeszcze drugi wzgląd: charakter tych prac wyłącza krytyczny do nich stosunek. Możnaby to i owo zarzucić takim naprzykład wynurzeniom, jak ...i właśnie tego przykładu nie dam. Ograniczę się do zwrócenia uwagi na kilka ciekawych momentów i charakterystyki ogólnej pewnych **narodowościowych** grup wśród prac tu zamieszczonych.

Ilościowo najobfitszą daninę hołdu dla Wielkiego Marszałka Polski złożyła Francja i Belgja. W obszernym życiorysie, uwzględniającym przedewszystkiem rolę Piłsudskiego jako twórcy i wodza naczelnego armji polskiej, pułkownik belgijski Charles Merzbach („Piłsudski, sauveur de la Pologne") przypomina przy okazji fakt historyczny, który rumieńcem wstydu powinien był pokryć czoła niektórych politycznych wrogów Marszałka, gdyby zaciekłość partyjna znała takie pojęcia, jak czoło, wstyd i honor narodowy. Jeszcze dziś, po mrocznych zakamarkach myśli „narodowej" pokutuje upartem widmem wylęgła z jadu nienawiści choć pobożna legenda o rzekomym „cudzie nad Wisłą", sprawionym do spółki przez Pana Boga i generała Weyganda w sierpniu 1920 r. Również francuski generał, Mordacq w niedawno ogłoszonej książce o legendach Wielkiej Wojny obalił, jak wiadomo i tę legendę, przyznając niepodzielny laur zwycięstwa nad armją bolszewicką temu, kto w nocy z 5 na 6 sierpnia, **wbrew radom generałów Weyganda i Rozwadowskiego** (planowali manewr na lewem skrzydle w rejonie Modlina) obmyślił swój plan kontrataku z przeciwnego prawego skrzydła, nad Wieprzem, manewr ten szybko i pomyślnie wykonał i doprowadził 18-go sierpnia do odwrotu armji nieprzyjacielskiej na całej linji spod samych murów stolicy, a w następstwie do zwycięskiego zakończenia wojny. Pułkownik Merzbach, przypomina o tem, cytując słowa fachowca gen. Mordacqa, których niektórzy Polacy dziś już przez prostą przyzwoitość powinniby się nauczyć napamięć :„**C'est là une pure légende** (że Polska w r. 1920 zawdzięczała zwyciestwo wykonaniu planu gen. Weyganda przywiezionego przezeń do Warszawy w lipcu). **Si la Pologne a été sauvée, ca fut grâce aux dispositions prises par le Marechal Piłsudski qui fut bien, à cette epoque, le sauveur de son pays**" *).

*) Jest to tylko legenda. Jeżeli Polska została ocalona, stało się to dzięki zarządzeniom Marszałka Piłsudskiego, który był istotnie w owym czasie zbawcą swego kraju.

Tak mówi o pierwszym Żołnierzu Polski wybitny żołnierz obcy, panowie pomniejszyciele wielkości, którym tak trudno rozstać się ze sromotnym nawykiem niewoli, z tem, że ich ojczyzna może nie być „służebnicą cudzą"!

W chórze głosów cudzoziemskich o Józefie Piłsudskim, gdzie obok konwencjonalnych form czci we wspomnieniach osobistych niebrak i akcentów szczerego entuzjazmu i podziwu dla różnych stron charakteru i działalności tego wielkiego człowieka, (m. in. wnikliwy artykuł o Piłsudskim — pisarzu znakomitego biografa i esseisty francuskiego, (André Maurois), odrębną przez swój ton i sposób ujęcia grupę stanowią **głosy Anglików.** Piszą tu o Marszałku: lord Kennet, znany u nas jako Sir Hilton Young (przed otrzymaniem tytułu lorda), b. minister zdrowia, wybitny pisarz katolicki Hilaire Belloc, E. J. Patterson, prof. uniwersytetu w Exeter, który wydał niedawno książkę o Piłsudskim, G. Glasgow, autor dzieła o wybitnych mężach stanu dzisiejszej Europy, wreszcie najsławniejszy na Zachodzie angielski publicysta Wickham Steed.

Wszystkie opinje Anglików w wyrazie swym mają pewne charakterystyczne cechy, występujące dobitnie, gdy je zestawimy np. z wiązanką francuską, typowe, jeśli nie dla Anglików jako takich, to dla Anglików **mówiących o obcych.**

Poza jednym może Maurois, który osobiście z Marszałkiem się nie zetknął. zarówno francuscy politycy (b. prezydent Republiki Millerand, b. minister sprawiedliwości Leméry), jak i wojskowi: marszałek Franchet d'Espèrey, gen. Henrys, b. szef misji wojskowej w Polsce, przetykają swe wspomnienia tym elementem wielkiej kurtuazji, która jest kwiatem wielowiekowej francuskiej kultury towarzyskiej, czasem jednak wygodnie zastępującym wysiłek głębszego wnikania w istotę zjawiska, o którem się zabiera głos.

Prace angielskich autorów wydają się wobec tamtych ściśle rzeczowe, powściągliwe i w swej trzeźwości niemal suche. Ale też innego ciężaru gatunkowego nabiera u Anglików, **gdy mówi o obcym,** z trudem mu przechodzący wtedy przez usta epitet **great,** niż francuskie, jakże nadużywane, **grand.**

I kiedy prof. Patterson mówi, że „był on za wielkim człowiekiem, żeby chcieć czynić cośkolwiek dla samego siebie" (dowodząc, że Piłsudski był opiekunem nie despotą) — takie **„He was too great a man"** jest wyrazem hołdu wielokrotnie zważonym, zanim dostał się na papier.

Szkis Pattersona („Piłsudski in Englishman's Eyes") daje bodaj najtrafniejszą, najprzenikliwszą w całym pamiątkowym numerze „Pologne Littéraire" charakterystykę Wskrzesiciela Polski, pokrewną zresztą uwagom i Belloca i Glasgowa i Steeda.

Ten „leader of men" potrafił „wznieść się ponad okoliczności" i „pogodzić romantyzm z twardem poczuciem dyscypliny rzeczywistości".

Przyjrzenie się nakreślonemu przez tego cudzoziemca portretowi Józefa Piłsudskiego pomogłoby niejednemu Polakowi do skrystalizowania w umyśle wizerunku Jego wielkiej postaci.

Wacław Rogowicz.

Sprostowanie

Do Pana Wydawcy Czasopisma
„Echo Społeczne"
w/m. ul. Czackiego Nr. 14 m. 6

W związku z zamieszczonym w Nr. 12 czasopisma „Echo Społeczne" z dnia 1 grudnia 1935 r. artykułem p. t. „Zużyty Pan Wice-Dyrektor Waligórski" na zasadzie art. 21 dekretu w przedmiocie tymczasowych przepisów prasowych z 7.II 1919 r. (Dz. Pr. 1919, Nr. 14, poz. 186) proszę o zamieszczenie poniższego sprostowania Ubezpieczalni Społecznej w Warszawie:

„Nieprawdą jest, że p. Wicedyrektor Waligórski na jednem z posiedzeń władz Ubezpieczalni Społecznej powiedział, „że pracowników, dla niego nieodpowiednich, będzie wzywał do swego gabinetu i... bił po mordzie", natomiast prawdą jest, że p. Waligórski nigdy takich wyrażeń o pracownikach nie wypowiadał".

Za Komisarza Rządu:
(—) Adam Wysokiński
Z-ca Naczelnika Wydziału
Bezpieczeństwa.

Józef Piłsudski powiedział w dniu 28 listopada 1930 roku podczas obrad Rady Gabinetowej. „Jeden ze sposobów w Polsce: gdy kto iest dureń, to pchnąć go wyżej, bo wtedy nie będzie przeszkadzał w pracy, a dół będzie pracował".

Kratery wojny i natura świata

Świeżo ukazała się w polskim przekładzie książka Artura Hendersona p. t. „Praca i Pokój". Wobec krateru wojny, który rozwarł się dziś nanowo i zaczął zionąć lawą ognistą, tytuł ten stał się jeszcze bardziej aktualny i zachęcający, zwłaszcza, że nad nim widnieje nazwisko Artura Hendersona, prezesa światowej Konferencji Rozbrojeniowej, b. ministra spraw zagranicznych potężnego mocarstwa i jednocześnie przywódcy wielkiego stronnictwa robotniczego. A. Henderson jest jedną z tych niepospolitych postaci, które z t. zw. nizin społecznych wznoszą się o własnych siłach na wyżyny, zawdzięczając to jedynie osobistej dzielności, wytrwałości i niepowszednim zdolnościom. Mąż ten urodził się w 1863 r. i całą swoją młodość spędził w fabryce, pracując jako robotnik w Newcastle i oddając się jednocześnie służbie społecznej i samorządowej. Wybrany poraz pierwszy posłem z ramienia Labour Party w 1895 r., zasiada bez przerwy w Izbie Gmin w ciągu długich lat trzydziestu zgórą, piastując jednocześnie najważniejsze godności w swojem stronnictwie. W czasie wojny światowej Henderson wchodzi do gabinetu brytyjskiego z teką ministra oświecenia, później ministra bez teki, potem w pierwszym rządzie Mac Donalda obejmuje stanowisko ministra spraw wewnętrznych, wreszcie ministra spraw zagranicznych. Od 1932 r. Henderson sprawuje czynności przewodniczącego światowej Konferencji Rozbrojeniowej.

Książkę tego męża stanu poprzedza krótki wstęp, napisany przez b. ministra spraw zagranicznych Augusta Zaleskiego. I jakkolwiek przedmowa ta uważana być może tylko za zwykły akt kurtuazji, to jednak podnieść trzeba ten szczegół niecodzienny, że August Zaleski, nie będąc socjalistą wprowadza celowo do polskiej przekładowej literatury politycznej pracę Artura Hendersona, podkreślając jednocześnie, że znajomość programu Labour Party jest rzeczą konieczną dla każdego, kto chce poważnie zajmować się sprawami międzynarodowemi. A chociaż wiemy z doświadczenia, że nawet „najpiękniej skonstruowane programy nie zawsze dają wprowadzić się w życie, to jednak o programie labourzystów angielskich, takim, jak przedstawił go p. Henderson, powiedzieć musimy, iż traktowany on jest z wielką dozą realizmu i choć może nie da się urzeczywistnić w całości, to niemniej liczyć się z nim należy, jako z ideałem, do którego dążyć będzie socjalizm angielski."

Książka A. Hendersona nie jest żadnem objawieniem i nie otwiera jakichś nowych, nieznanych dotąd widnokręgów. W pierwszej jej części rozumowanie autora jest zwarte, nacechowane powagą, wolne od błyskotliwości, ujmuje mocno czytelnika swoją przenikliwością i pewnością stawiania żywotnych zagadnień, obchodzących dziś najszersze rzesze pracownicze. A. Henderson, oświetlając ze stanowiska socjalistycznego zagadnienie organizacji dzisiejszego świata, mającej zapewnić pokój, — stwierdza stanowczo i z głębokiem przekonaniem, że jedyną drogą, prowadzącą do sprawiedliwości społecznej jest uchylenie zasady wytwórczości w celach osobistych zysków i zastąpienie jej przez zasadę wytwarzania dla pożytku całego społeczeństwa. Henderson ustala, jako rzecz niewątpliwą i dowiedzioną, że panujący ustrój gospodarczy powoduje nietylko stan niesprawiedliwości i nierówności społecznej, zagrażający pokojowi, lecz **stanowi także bezpośrednią przyczynę, wywołującą wojny zdobywcze i zaborcze.** Dla zapewnienia więc trwałego pokoju wyłania się konieczność gruntownej zmiany współczesnego ustroju kapitalistycznego.

Henderson sądzi jednakże, że w obliczu widma nowej wojny, grożącej światu, należy już dziś dla obrony cywilizacji i pokoju czynić jaknajpełniejszy użytek z mechanizmu Ligi Narodów i Międzynarodowej Organizacji Pracy. Ale gdy w pierwszych trzech rozdziałach p. t. „Zmieniający się świat — zmiany gospodarcze", „Zmiany polityczne i militarne" i „Podstawy pokoju" — A. Henderson zajmuje stanowisko nawskroś realistyczne, trzymając się gruntu doświadczenia i prześwietlając duszę współczesnego świata z wielkiem poczuciem prawdy psychologicznej, to już w następnych rozdziałach p. t. „Rozbrojenie i obrona kraju" i „Zmiany status quo" — odrywa się nieco od rzeczywistości i daje się unosić wyobraźni marzycielskiej.

Artur Henderson np. naraz orzeka, że pierwszą rzeczą, którą należy dziś uczynić dla zapewnienia pokoju, — to wstrzymać wyścig zbrojeń i uważa dla tego celu za wystarczające iżby państwa, wchodzące w skład Ligi Narodów, przyjęły plan obrony wspólnej, rozbrojenia i powołania międzynarodowej siły policyjnej. Nadto Henderson sądzi, że przyjęcie powyższego planu zmieniłoby ducha politycznego Europy dzisiejszej, przywracając wiarę w **„panowanie prawa i usuwając obawę,** że do przeprowadzenia zmian granic terytorjów narodowych będzie używana przemoc. W takiej atmosferze dużo dałoby się osiągnąć drogą umów i układów i przez używanie środków nacisku moralnego i dyskusyj w ramach mechanizmu Ligi Narodów". W tych wszystkich wnioskach Hendersona mieści się znacznie więcej, niż w jego przesłankach, co świadczy, że coś tu jest nie w porządku. Przyjmując pierwsze założenie Hendersona, że w samej naturze kapitalizmu spoczywa konieczność wojen zdobywczych i zaborczych, — nie wątpimy już przez to samo i nie łudzimy się, ażeby te przyrodzone konieczności i siły fatalne dały się ujarzmić lub zniweczyć za **pomocą umów** lub **oddziaływania moralnego.** Jeżeli zatem zgodnie z dalszem rozumowaniem Hendersona, umowy rozbrojeniowe są możliwe i mają być skuteczne, to ze stanowiska formalnej logiki dopuścić trzeba jeden z trzech warunków czy możliwości: 1) albo państwa, które wbrew swojej naturze rozbrajają się w imię wzniosłych celów moralnych nie są kapitalistyczne, 2) albo też, że w rdzeniu kapitalizmu nie drzemią konieczności wojen, 3) albo też wreszcie, że państwa kapitalistyczne zawierają w pewnych warunkach umowy poto, żeby je łamać w sprzyjających dla siebie okolicznościach.

O tem, że kapitalizm nie zamierza bynajmniej drogą rozbrojenia przenieść się w świat idealnej rzeczywistości,— przekonały nas bezpłodne i syzyfowe prace Konferencji Rozbrojeniowej, której nb. przewodniczył Artur Henderson, i co, o ironjo, upoważnia do sądzenia, że stanowisko jego, zgodnie z doktryną socjalistyczną a zajęte na początku omawianej książki jest prawdziwe i rzeczywiste. Zresztą czynny obecnie krater wojny i ładowanie wojsk włoskich na okręty w Neapolu, u podnóża Wezuwjusza, świadczy w pełni światła dziennego, że w kapitaliźmie drzemią konieczności wojen zdobywczych i że łamie on układy w sprzyjających dla siebie okolicznościach. Natura ciągnie wilka do lasu, nawet tak odległego, jak abisyński, i to pomimo chóralnych zaklęć moralnych i uroczystych pobudek pokojowych, granych od rana do nocy w parlamencie narodów.

Książka A. Hendersona jest mimo wszystko w tonie i w założeniu szlachetna. Stanowi połączenie programu, wypracowanego na zimno, i ody, wzywającej młodzież w zwrotach płomiennych do przebudowy dzisiejszego zmurszałego świata.

Henryk Lukrec.

Zapomniana spółdzielczość

Mamy do zarzucenia Funduszowi Pracy, że w stopniu najzupełniej niedostatecznym interesuje go zagadnienie zlikwidowania, względnie pomniejszenia, bezrobocia pracowników umysłowych, które to bezrobocie wykazuje stale m. in. za sprawą t. zw. „polityk personalnych" tendencje zwyżkowe.

Rzecz oczywista, że nie byłoby celowe stosowanie tych samych metod w zakresie zwalczania bezrobocia pracowników umysłowych, jakie są stosowane odnośnie do robotników fizycznych. Nie wątpimy natomiast ani na chwilę, że wszechstronne przepracowanie tego zagadnienia, ujęte nie w ramy szablonu i rutyny biurokratycznej, dałoby w skutkach najzupełniej realny program działania.

Wydaje się nam słuszne, naprzykład, oparcie jednego z odcinków omawianej akcji na zasadach s p ó ł d z i e l c z o ś c i.

Opierając się na brzmieniu art. 1 działu I ustawy z dnia 29.X.1920 r. o spółdzielniach (Dz. Ust. R. P. Nr. 55/1934 poz. 495), że „Za spółdzielnię uważa się zrzeszenie nieograniczonej liczby osób o zmiennym kapitale i składzie osobowym, mające na celu podniesienie zarobku lub gospodarstwa członków przez prowadzenie wspólnego przedsiębiorstwa" — jesteśmy zdania, że spółdzielczość stanowi jedną z najbardziej celowych i łatwo osiągalnych form pomocy dla bezrobotnych wogóle, a dla pracowników umysłowych w szczególności.

Należy sobie również uświadomić, że istnieje w Polsce cały szereg budynków fabrycznych po zakładach pracy, bądź opuszczonych przez właścicieli ze względów na trudności finansowe, bądź też zniszczonych przez działanie karteli, które to budynki mogłyby stanowić przynajmniej dla pierwszych placówek spółdzielczych znakomite punkty oparcia.

A skąd wziąć pieniądze na uruchomienie spółdzielczych warsztatów pracy? Z tego samego źródła, z którego wydaje się je na roboty, prowadzone dla zatrudnienia bezrobotnych robotników fizycznych — z zamożnych kas Funduszu Pracy.

Interesujących się bliżej sprawą spółdzielczości odsyłamy do przystępnie opracowanego wydawnictwa p. t. „Polskie Ustawodawstwo Spółdzielcze", nakładem Spółdzielni Wydawn. Spólnota Pracy, Warszawa 1934.

Pan „zużyty" wicedyrektor Stanisław Waligórski

Otrzymaliśmy wiadomość, że pan w tytule wskazany skończył już swą karjerę na terenie stolicy i że ma być przydzielony do Lwowskiej Ubezpieczalni Społecznej. O ile ta wiadomość odpowiada prawdzie, to spieszymy złożyć powinszowania tym spośród naszych kolegów z Warszawskiej Ubezpieczalni Społecznej, którzy okazali na tyle poczucia honoru i hartu woli, że nie dali się wciągnąć temu panu i jego „kibicom" w orbitę swoistych intryg i działalności „społeczno-politycznej". Ta ostatnia „działalność" była, jak mówią powszechnie, zewnętrznie bardzo urozmaicona, albowiem „zużyty" kacyk należeć miał do typu „działaczy", dyskontujących przy każdej sposobności swe fikcyjne zasługi społeczne i polityczne.

Tu rekomendował się, podobno, jako wybitny działacz „Strzelca", jakkolwiek nie brał czynnego udziału w jego pracach, tam znowu operować miał uczestnictwem w Związku Peowiaków, jakkolwiek do tego Związku przyjęty nie został, ówdzie znowu „zaiwaniał" swoimi stosunkami w b. B. B. W. R. i t. d. i t. d. Tu senjor Legjonu Młodych, tam znowu junior legjonu starych, „joachimkował" gdzie i jak mógł, grając z wytrwałością godną lepszej sprawy, rolę rodzimego politycznego Figara.

Ludzie bywali mówią, że nie obcą mu podobno była również robota endecka ongiś, gdzieś, w grójeckiem...

Nie możemy się powstrzymać jednocześnie od złożenia dzielnym naszym kolegom we Lwowie, o ileby ten pan istotnie tam zawitał, wyrazów naszego współczucia. Nie wątpimy jednak, że koledzy lwowianie, nauczeni doświadczeniem chociażby ostatnich tygodni na terenie miejscowej Ubezpieczalni Społecznej, której powagi i dobra jej ubezpieczonych niezmiennie strzegli i nadal strzec będą, wpłyną odmładzająco na „zużytego" kacyka.

Czy to aby dobry sposób dla ubezpieczeń społecznych przenoszenie tego typu pracowników z jednej instytucji do drugiej? nikt na tem nie zyska, natomiast ubezpieczenia społeczne bezwątpienia stracą.

Niezbadane są tymczasem tajniki polityki „biur personalnych".

W tej gehennie...

Nakładem Instytutu Gospodarstwa Społecznego ukazała się broszura p. t. „Warunki mieszkaniowe robotników w okresie kryzysu i bezrobocia". Autor, p. Antoni Zdanowski, opracował tu plon ankiety, rozpisanej przez Instytut. Materjał stanowiło 668 należycie wypełnionych i przez związki zawodowe skontrolowanych kwestjonarjuszy, które rozesłane były do szeregu miast.

Przytaczamy niektóre cyfry, najlepiej ilustrujące stan rzeczy w tej dziedzinie.

Na 668 mieszkań zbadanych tylko 12 czyli 1.8% ma własne ustępy, 74 mieszkania mają ustępy na korytarzach, 24 — na schodach, 558 t. j. 83.5% — na podwórkach.

Zlewy znajdują się tylko w 84-ch mieszkaniach (12.6%). Nie posiada wodociągu 85.9% wszystkich mieszkań.

Dane, dotyczące liczby łóżek w mieszkaniach robotniczych, mówią: w mieszkaniach tych przypada przeciętnie jedno łóżko na 2.3 osoby. P. Antoni Zdanowski pisze: „Dane te przypominają ponure obrazy zatłoczenia, skreślone ręką Zoli w powieści „Germinal". Czy można dziwić się, że w takich warunkach ludzie zatracają poczucie wstydu? Że dziewczęta i chłopcy przedwcześnie rozpoczynają życie erotyczne?"

Na jedno mieszkanie jednoizbowe przypada przeciętnie 4.9 mieszkańca więcej, niż połowa mieszkań liczy 3 do 6 mieszkańców; prawie czwarta część — ponad 6 osób w jednej izbie.

Konkluzja tej ankiety brzmi:

„Niema miejsca w tych przeludnionych lokalach na spokojny odpoczynek, brak powietrza powoduje przedwczesną starość, wzmożoną chorobowość, zwyrodnienie fizyczne i deprawację moralną. Ludzkie prawo do życia w powietrzu, w zdrowych lokalach, zostało mieszkańcom lokali robotniczych odebrane".

**BOJKOTUJCIE
„ILUSTROWANY
KURJER
CODZIENNY"**

Nędza i przestępczość

W sam wieczór wigilijny Bożego Narodzenia — jak doniosły gazety — na terenie Warszawy spełniono dwie zbrodnie zabójstwa. W ziemiance na Mokotowie, w rodzinie bezrobotnych, nocą, matka zabiła syna — włóczęgę i alkoholika, który domagał się pieniędzy na wódkę i groził rodzinie, że to — „ich noc ostatnia". W innem miejscu — pijany zięć wrócił do domu, domagając się pieniędzy na wódkę i rzucił się z siekierą na szwagra. W trakcie awantury napastowany przedzierzgnął się w napastnika i chwyciwszy uprzednio wyrwaną tamtemu i schronioną pod łóżko siekierę, zadał nim cios śmiertelny.

Wiele innych jeszcze zbrodni popełniono w tę noc, gdy według legendy, Bóg się rodzi i gwiazda nadziei wschodzi nad światem. Lecz te dwie — są najtragiczniejsze. Zrodziła je noc beznadziei, zrodziły je warunki tak straszne, jakgdyby Bóg od świata twarz niechętną odwrócił. Gdzie ich przyczyna?

Moralista, ujmujący swym umysłem tylko najbliższe, najbardziej radykalne przyczyny, zechce nam odpowiedzieć może: przyczyna tkwi w alkoholiźmie, w zwyrodnieniu, któremu człowiek pod wpływem nałogu pijaństwa ulega. Lecz chwila głębszego namysłu musi przynieść odpowiedź: przyczyną zła są stosunki społeczne.

Nędza tych bezrobotnych mieszkańców ziemianek, nędza mieszkań, przetłoczonych kilku rodzinami—jest rodzicielką alkoholizmu, włóczęgostwa, złodziejstwa. Ta matka, która oddając się w ręce policji, oświadczyła, że „zabiła potwora" — wydała go na świat dziecięciem, jak wszystkie inne zdolnem do życia. To życie dopiero uczyniło go potworem, życie go pchnęło ku kradzieży, życie uczyniło włóczęgą i szkodnikiem, życie — alkoholikiem i potworem. W innych, warunkach społecznych — ta matka zabijająca potwora, byłaby może z niego dumna, może w tę samą noc wigilijną, w której wbiła nóż w jego piersi, byłaby nad jego głową roniła łzy rozczulenia.

Nędza, pauperyzacja coraz większych mas wykolejeńców, nie mogących znaleźć pracy, nędza upadlająca i przekształcająca ludzi w złe zwierzęta, zabijająca w nich wszelkie uczucie i dobre instynkty — to rodzicielka zbrodni, to podżegaczka do przestęptw.

Gdy wzmaga się nasilenie nędzy, gdy kryzys przewlekły żelaznemi kleszczami ściska i dusi świat pracujący, zwiększając rozmiary tego padołu, w którym — jak w najniższym kręgu piekieł — wiją się pół-ludzie a napoły zwierzęta, mnoży się i zwielokrotnia przestępstwo.

Przestaje ono być ekscesem — przypadkiem wyjątkowym; staje się niemal funkcją życia. Jakże bowiem to życie może nie zahaczać codzień, co godzina o przestępstwo? Czy na tym poziomie upadku istnieją jeszcze jakiekolwiek możliwości życa według jakichś norm etycznych, przepisów obyczajowych?

Tragiczna chwila utraty pracy, gdy wskutek warunków socjalnych traci się i możność jej ponownego zdobycia, lub zdobywając — zabiera się ją komuś innemu, strącając jego na dno i po jego ciele wydobywając się na wierzch — ta chwila ciąży wciąż nad nami wszystkimi, krąży koło nas, jak upiór, jak widmo zagłady. Średniowiecze znało morową zarazę, która dziesiątkowała ludność, wtrącając ją w beznadziejną chorobę. Czasy dzisiejsze znają klęskę niemniej straszliwą, bezrobocie i nędzę.

Za przestępstwami proletarjatu idzie i musi iść niechronna kara. Państwo nie może wyrzec się karania i dopuszczać bezkarność przestępstwa. Lecz żadna kara, żaden sąd, żadna policja nie może wytępić przestępstwa, dopóki istnieją warunki socjalne, w którem ono się rodzi i rozkrzewia. Budujemy olbrzymie tamy u źródeł rzek, stwarzamy wodozbiory, w które zbierać mamy nadmiar wód, aby nie dopuścić do klęski powodzi. Kiedyż u źródeł przestępstwa poczniemy budować tamy, nie dopuszczając, ażeby się one rodzić mogło masowo? Surowość prawa, czujność władz, nakaz morany, opinja — wszystko jest zmobilizowane i skierowane do walki z przestępstwem. Lecz jest to walka podobna do walki z powodzią w dole wezbranych rzek, gdy toczą się one nawałnica wezbranych wód i gdy napróżno sypać wątłe obwałowania, któż natomiast podejmuje, choćby w postaci osądu moralnego, walkę z redukcjami? Czy są one potępiane? Nie, przeciwnie, każdy nowy administrator, kierownik, szef czy dyrektor zbiera odznaczenia i pochwały za „sprężystość", gdy zaczyna swą działalność od „oszczędności personalnych". Każdy przezorny finansista ujawnia swe talenty w pierwszym rzędzie od zamykania mniej opłatnych lub mniej pewnych przedsiębiorstw, zwiększając napór nędzy, przyczyniając się do rozwoju przestępczości, tworząc nowych zbrodniarzy. Któż go za to osądzi, kto go potępi?

Człowiek na bruku — to dotychczas jeszcze fakt tak obojętny, tak całkowicie jeszcze rozważany tylko z punktu widzenia litości nad nieszczęśliwym, ngdy prawie — potępienia sprawcy tego nieszczęścia. A wszak norma prawna, która kedyś zrodzić się musi: ochrona ustawowa prawa do pracy, musi być poprzedzona przez rząd moralny. Wszyscy szerzyciele nędzy winni wpierw spotykać się z potępieniem moralnem, zanim ukształtuje się odpowiednie pojęcia prawne i na ich podstawie — przepisy ustawowe.

Każdy przepis ustawodawstwa pracy przebył tę długą drogę. Każdy wydawał się w swoim czasie zupełnie niemożliwym do sformułowania, jako pojęcia prawne, każdy — niemożliwym, nie do pomyślenia, jako ustawa. Wolno więc nam być utopistami, rojącymi o przyszłych pojęciach i przepisach prawnych, których dziś jeszcze sformułować i wylać na papier byśmy nie mogli.

Delta.

Ważne orzeczenie Sądu Najwyższego

O należnościach za urlopy pracownicze

Dotychczasowa praktyka sądów szła w tym kierunku, iż przy wymówieniu pracy należy się pełne odszkodowanie za niewykorzystany urlop wówczas, gdy pracownik ma za sobą cały rok pracy, względnie, jeśli tylko pół roku, to odszkodowanie za pół miesiąca i t. d.

Obecnie Sąd Najwyższy orzekł w sprawie, która została przekazana na zwiększony komplet sądzący, iż urlop jest wartością niepodzielną. Bez względu na to, czy pracownik ma za sobą w danym roku 12 miesięcy, czy też tylko jeden miesiąc pracy, pracodawca, likwidując stosunek najmu pracy, winien zapłacić odszkodowanie za urlop miesięczny.

EWA JAŚNIEWSKA

DZIECI JAK KWIATKI

(reportaż).

...Pudełko z irysami, przewieszone przez ramię.

Nosek siny z zimna.

Ręce czerwone, jak ogień, bez rękawiczek, oczy śmiesznie bezradne, rozproszone, rozbiegane.

„Irysy najlepsze, śmietankowe, panienka kupi — pani da zarobić — nic jeszcze nie jadłem, pani weźmie, złota, kochana —jak Boga kocham— po 5 groszy!"

Przestępuje z nogi na nogę, zachodzi to z jednej, to z drugiej strony, zagląda w oczy po psiemu, wybiega naprzód, zawraca: „pani kupi, złota, kochana, na kawałek chleba, na lekarstwo, najlepsze, po pięć groszy, złota, kochana!!!"

Ma lat osiem.

Wygląda na sześć.

— Gdzie ty mieszkasz?

— Ja wcale nie mieszkam.

—

A tak. Na noc to mnie ta jedne wpuszczają i pozwalają się przespać w kuchni, w dzień to ci tak ganiam po ulicach, po tramwajach.

— A gdzież twoi rodzice?

Chłopiec jest zawstydzony, lecz po chwili odpowiada z widoczną dumą:

„A mój stary to się powiesił w zeszłą zimę, bo nie mógł znaleźć roboty, a mamusia jest w szpitalu, bo jej się w brzuchu coś zrobiło".

— A ty ile dziś zarobiłeś?

..Pięć groszy... waha się dziecko,— nie dziesięć.

...A jadłeś dzisiaj co?

...Ćwierć kilo chleba — wypala szybko, z przechwałką w głosie.

— A do szkoły chciałbyś chodzić?

— Do szkoły? W szkole jest ciepło.

I nawet dają trochę żarcia.

Ale ja nie taki frajer. Ktoby za mnie irysy sprzedawał?

Wykręca się na pięcie. Migają nogi w czemś, co było kiedyś butami.

„Pan kupi — pan zrobi początek, nic jeszcze nie jadłem".

W szkole na Chłodnej, dużo było trudnych słów i zawiłych zdań, i nieraz zbierało mu się na bek, gdy język potykał się o te zawiłości a pani się gniewała — ale teraz odechciało się nawet beczeć — było tak, jakby cię pięścią po łbie walił, a gębę szmatami zatkał.

„Proszę co łaska dla biednego sieroty" — tkwiło najpierw w gardle, jak wielka klucha, potem gramoliło się z trudem do przodu, przylepiało, jak zakalcowe ciasto do podniebienia i ani rusz nie chciało się odlepić. Dopiero na wspomnienie Felkowej pięści, spadającej, jak odważnik na nieforemną łepetynę — i Felkowego paska, rżnącego silniej od mrozu bezkrwiste plecy dziecka, — wychodziły te słowa cieniutko i płaczliwie — razem z obłokiem pary z ust i mokremi pęcherzykami z nosa.

Kiedy się przekrzywiło głowę w bok i jedną ręką wsunęło w cały rękaw — można było jakoś chytrze podejść i oszukać mróz. Na chwilę bestja zapomniał, że Jędrek tu stoi, ale wystarczyło tylko poruszyć głową, zaraz się budził i zatapiał w chłopcu wszystkie, ostre, kolczaste szpony.

Przed oczyma migają buty, buty, buty, bez końca, małe i duże, nowiutkie i zniszczone, prędkie, prędkie, prędkie...

Omotuje je Jędrek rwącem się, cieniutkiem pasemkiem swego natrętnego zdania, ale one odrywają się szybko i nikną w mroku, niteczka jest za słaba, nie można nią nikogo zatrzymać. Ani oczyma czerwonemi od mrozu i łez, ani żałosnym, zasmarkanym noskiem skopanego szczenięcia, ani fioletową, nabrzmiałą plamą łokcia, wyłuskanego z poszarpanego rękawa.

Takie same fioletowe, krwią podbiegłe plamy ma Jędrek na nogach i dlatego narabia tyle wrzasku, gdy mu matka ściąga z nich wieczorem swoje buty, aby iść po naftę i chleb.

Bardzo trudno było na początku. Teraz to się już mówi samo, bez udziału Jędrkowej woli, głośno i natrętnie, słowa razem z oddechem wsiąkają w mokry mrok i można myśleć o czemś zupełnie innem.

O tem, że Felek tylko machnął ręką i dał drapaka i przyniósł matce wieczorem dziesięć złotych w damskiej torebce. Nażarli się wtedy chleba do zupełnej sytości, a to czerwone, co się tem malują te ta różne lafiryndy, oddał Felek swojej facetce.

I oblicza, ile dni musiałby tu stać na kłującem i szczypiącem zimnie, by zarobić dziesięć złotych. Tyle płaci matka za kąt, w którym sypia z trojgiem dzieci w jednem łóżku, ale stara Agata coraz częściej wyjeżdża na matkę z pyskiem, że takiej dziadówki, co z człowieka flaki wypruwa i za cały kwartał nie płaci, nie myśli u siebie dłużej trzymać i jak parszywą sukę wyrzuci na ulicę. I jeszcze garnek z wrzątkiem złapała i rękę mamie oparzyła.

Jędrkowi się wtedy też oberwało za swoje, bo przez cały dzień nic nie zarobił. Matka zdzieliła go pięścią po głowie i rozwrzeszczała się, że mógłby już zdechnąć, pożytku niema z niego nijakiego i tylko kałdun mu trzeba napychać. Głodny i zabeczany wsunął się pod cienkie wyrko i marzył wśród nocy ciężkiej, jak głaz, przyczajonej, jak złe zwierzę, żeby po skłębionych, śpiących ciałach, dostać się za przepierzenie i wbić aż po rękojeść nowiutki, skradziony scyzoryk w gardło chrapiącej Agaty.

Mijają go buty — buty — buty. Zapalają się i gasną sine, jadowite węże reklam. Jak galareta trzęsą się mgliste obwódki wokoło elektrycznych lamp.

Ogród przyczaił się, jak zwierzę do skoku. Odrywa się od muru mara, skurczona figurka dziecka. Oczy niebieskie, nosek figlarnie i żałośnie zadarty.

Pani w futrze ma dobre serce, tkliwie bijące pod obfitością biustu. Dobywa ze spęczniałej sakiewki pięć groszy, rzuca w spuchniętą, odmrożoną rękę dziecka, trochę zakłopotana, czy to aby nie jakiś łobuziak, wydrwigrosz, co jedną dłoń wyciąga po jałmużnę, a w drugiej ukrywa papierosa?

Za panią w futrze biegnie w obłoczku białego oddechu wyostrzone, jak igiełka, dosadne słówko.

To samo, które dziś rano rzuciła w twarz jego matce pijana Agata.

Dłoń ściska mocno i kurczowo zimny metal wyżebranych groszy.

Przed oczyma miga mrowie czarnych płatków, wnętrzności bolą z głodu, w dołku mdli i sie — w ustach gorzki osad.

Księżyc w górze ma skórkę rumianą i złocistą, jak chleb. Jędrek nie wie, czy dostanie dziś przed spaniem kawałek złocistego chleba.

— — — — — — — — — — —

Jeden stoi na czatach i ostrzega o niebezpieczeństwie krótkiem gwizdnięciem „przez palce", drugi dobywa skrzypce z pod marynarki i zaczyna wyciągać niemożliwym dyszkantem, wodząc do wtóru smyczkiem: „Bo taki jestem zimny drań"... Snopy czerwonych iskier, jak ogniste confetti zmiata wiatr za zlanemi deszczem szybami pociągu, lampa u sufitu chwieje się rytmicznie i rzuca trupie cienie na twarz chłopca.

Z głębokich oczodołów patrzą oczy czarne, wielkie, wilgotne.

Usta są dziecinne, żałosne.

W wyrazie twarzy coś dojrzałego, gorzkiego. Ma dziewięć lat.

Ten chłopczyk utrzymuje matkę i dwie siostrzyczki.

W zeszłym roku chodził jeszcze do szkoły.

„Byłem jeszcze wtedy porządnym chłopcem" — mówi cicho, zawstydzony. Ojciec pracował w fabryce na Woli, stracił robotę i rozpił się.

Bił matkę, bo jest chora na gruźlicę i nie może zarabiać praniem.

Bił, bo życie zatoczyło nagle szaloną spiralę, stało się nonsensem i ślepem przerażeniem.

Bił, bo dwie mocne pięści stały się niepotrzebne do niczego, na zawsze wykreślone z rejestru pracy.

Bił, bo piszczały głodne dzieci, bo każdy dzień był tak trudny do przeżycia, jak zdobycie warownej fortecy, a każdy ranek szczerzył kły głodu i mrozu.

Potem kradł. Teraz siedzi w więzieniu. Matka leży chora. W domu są dwie małe siostry.

Trzeba przemykać się chyłkiem po wagonach, żeby konduktor nie przyłapał, bo wtedy ciągną człowieka na posterunek, spisują protokół, często biją.

Gdy uda się bez przeszkód dojechać do Warszawy, można zarobić kilka groszy przy odnoszeniu paczek.

Ten mały ma w sobie coś z zająca, jest cały czujnie zjeżony na czyhające niebezpieczeństwa. Nieraz już przeleżał, nie oddychając, pod ławką, póki konduktor nie odszedł po sprawdzeniu biletów.

Rytmiczny stuk kół pociągu zlewa się z szumem deszczu za czarnemi oknami. Czarny mrok za oknami nakłuwają słowa piosenki:

„To płacz zdaleka,
płacz człowieka,
serca płacz".

W podstawiony papierek padają wytarte grosze, wyświechtane miedziaki ludzkiego miłosierdzia.

„Najwięcej to ludzie dają, jak im śpiewać o miłości" — poucza mnie mały.

— — — — — — — — — — —

Są różne dzieci. Takie, które bocian przyniósł odrazu w różowej lub niebieskiej koszulce, z jasnemi lokami i dołeczkami w pulchnej buzi, i takie, które „cholera znowu nadała", z wydętym brzuszkiem i krzywemi nóżkami, zanoszące się płaczem i kaszlem. Takie, którym się kupuje drogie zabawki i każe deklamować wobec gości — i takie, co nie wychodzą miesiącami na ulicę, bo nie mają butów i na których łamie się kije i obija ręce.

Są takie, co rozmazują sobie na szarej, brudnej twarzyczce nigdy nie obsychające łzy, które patrzą zpodełba na pijanego ojca, bijącego matkę, które trzy razy dziennie jedzą kartofle, które sprzedają irysy, które kradną okruchy węgla, które mdleją w szkole z głodu, które żebrzą.

Mają główki jasne, lub ciemne, mają oczy piwne, lub niebieskie, wesołe lub smutne, niewinne, lub cyniczne. Wychodzą ze śmierdzących podwórek, z cuchnących klatek chodowych, z ciemnych nor, gdzie lęgnie się groza, z wilgotnych syteryn, gdzie pełza gruźlica, wychodzą z najstraszliwszem z pytań: „Co z was będzie"? Albowiem są nieświadome, jak ślepe szczenięta i nie wiedzą nic o tem, że je nazwano kwiatami życia.

Universitas — Wszechnica I. O. P.

Instytut Oświaty Pracowniczej otwiera dn. 7 stycznia r. b. nową uczelnię na poziomie akademickim pod nazwą: Universitas — Wszechnica I. O. P. Celem Universitas jest danie pracownikom umysłowym wykształcenia ogólnego na poziomie wyższym.

Na kierownika wszechnicy wybrany został znakomity uczony polski prof. dr. A. B. Dobrowolski; wykłady objęli profesorowie i docenci Uniwersytetu Warszawskiego i Wolnej Wszechnicy Polskiej.

Kurs trwać będzie 2 lata i podzielony zostaje na 4 semestry. Wykłady odbywają się w poniedziałki, wtorki, środy i czwartki od godz. 18 do 20. Opłata normalna wynosi zł. 20 miesięcznie; dla mniej zarabiających została ona obniżona do zł. 10. Dla wstąpienia na Universitas wymagane jest wykształcenie ogólne conajmniej w zakresie 6 klas gimnazjalnych.

Zapisywać się można również na poszczególne grupy wykładanych przedmiotów.

Informacyj udziela Instytut Oświaty Pracowniczej: Marszałkowska 129 m. 3, tel. 6-82-99.

Alarmujemy: gruźlica

Z interesującej broszury Prof. Leona Waściszewskiego p. t. „Rys statystyczny organizacji i lecznictwa Kas Chorych (Warszawa 1933, nakład Związku Kas Chorych)" czerpiemy następujące, wysoce charakterystyczne, dane o pracownikach umysłowych, chorych na gruźlicę. Materjał statystyczny, wzięty do badań, obejmował 7.312 pracowników, obowiązkowo ubezpieczonych na wypadek choroby, w tem 17,1% pracowników umysłowych. Chorych na gruźlicę w tej liczbie było urzędników 862 (608 mężczyzn i 254 kobiety), t.j. 69,1% całkowitej liczby badanych chorych. Rozpoznania lekarskie ustaliły gruźlicę narządów oddechowych w 89,0% w stosunku do rozpoznanych w danym czasie 10.527 przypadków gruźlicy.

Ogólnego zaś charakteru dane o rozmiarze klęski gruźlicy w Polsce oraz o stanie walki z nią, jak również wskazania teoretyczne, jak należy tę walkę zorganizować i prowadzić wskazuje świetnie zbudowana praca Dr. Marcelego Staroniewicza, dyrektora Sanatorjum w Ludwikowie, p. t. „Walka z gruźlicą, a ubezpieczenia społeczne" (Bibljoteka „Przeglądu Ubezpieczeń Społecznych" Nr. 22). Z tej właśnie broszury czerpiemy omówione dalej materjały informacyjne.

Niewątpliwie, wszystkim nam jest wiadomo, że gruźlica należy do kategorji chorób t. zw. społecznych i że jest chorobą śmiertelną, o ile nie nastąpiła we właściwym czasie i w dostatecznym zakresie pomoc lekarska. Jaką jest w Polsce śmiertelność z gruźlicy? Największa w Europie, gdyż wynosi 20,1 w stosunku do 10.000 ludności, (w Warszawie — 16,0 : 10.000, we Lwowie — 15,0 : 10.000, w Krakowie — 16,5 : 10.000, i w Poznaniu — 19,0 : 10.000). Należy podkreślić, że powyższe dane cyfrowe nie są ostateczne, albowiem dat statystycznych, odnoszących się do całego naszego Państwa w tej dziedzinie, jest brak.

A jaki jest stan zagruźliczenia w Polsce? Około 70.000 zejść śmiertelnych z gruźlicy rocznie, około 300.000 chorych zakaźnie, t. j. z gruźlicą otwartą, ogółem ponad 1.000.000 chorych na gruźlicę. Ponieważ i te dane cyfrowe dalekie są od przedstawienia stanu faktycznego, przeto możemy bez przesady ustalić stosunek 1 gruźlika na 30 mieszkańców Polski. Doprawdy stan rozpaczliwy!

Trzecia grupa danych odnosi się do naszego „arsenału" przeciwgruźliczego, który nie pozostaje w żadnym poważnym stosunku do takiegoż „arsenału" w poszczególnych krajach Europy zachodniej, centralnej i wschodniej.

Dane tej kategorji są następujące: 341 poradni przeciwgruźlicznych (powinna być w wielkich miastach 1 poradnia na 30 — 50.000 osób zainteresowanych), 5.219 łóżek w sanatorjach (powinno być około 40.000), 3.461 łóżek szpitalnych (powinno być około 60.000), 1.305 miejsc w prewentorjach (stacje zapobiegawcze) — (powinno być około 10.000 miejsc), 4 szkoły na świeżem powietrzu z 308 miejscami (powinno być takich miejsc przynajmniej 16.000).

„W walce z gruźlicą udział biorą towarzystwa przeciwgruźlicze, samorządy miejskie i powiatowe, ubezpieczenia społeczne, Czerwony Krzyż i inne mniejsze instytucje i organizacje. Formalnie jednoczy je Polski Związek Przeciwgruźliczy. Brak jednak dostatecznie życiowo przystosowanych zarządzeń ustawowych obok swoistego indywidualizmu polskiego, popartego ambicjami i ambicyjkami, przekreśla w znacznym stopniu usiłowania zespolenia akcji. Sumy, łożone na walkę z gruźlicą, wcale nie są tak małe, lecz zupełny brak jednolitego planu w akcji przeciwgruźliczej, rozstrzelenie wysiłków, brak należytego uświadomienia o istocie gruźlicy i niebezpieczeństwie z jej szerzeniem się związanego — oto niektóre z wielu przyczyn, jakie na ten stan rzeczy się składają. Przyczyn wiele, bardzo wiele. A jedną z głównych — brak planu w prowadzeniu walki. „Każdy sobie rzepkę skrobie" — duże sumy toną, rzucane na niewłaściwy grunt, wydawane nieplanowo".

Smutna rzeczywistość. Ujawnienie prawdy jest koniecznością i dobrem społecznem, zwłaszcza w tej tak niezwykle ważnej sprawie, albowiem znać prawdziwy stan rzeczy, to znaczy — osiągnąć pierwszy sukces w walce o naprawę dotychczasowych błądów i braków, istniejących w danem zagadnieniu. Następnym niewątpliwym sukcesem będzie w tej walce zrealizowanie — i to jak najszybsze — dwóch następnych podstawowych warunków rzeczowo prowadzonej akcji przeciwgruźliczej, mianowicie: 1) Scentralizowanie w jednem ręku inicjatywy i kontroli oraz opracowywania ścisłych planów kampanji przeciwgruźliczej, 2) wniknięcie organów, planowo zwalczających tę straszną chorobę społeczną, aż do podstawowej komórki społecznej, t. j. do rodziny. Opieka nad rodziną jest zasadniczym krokiem w walce przeciwgruźliczej. O ile bowiem ciągłość tej opieki jest niezmiernie ważna z punktu widzenia interesu zdrowia poszczególnego chorego, to stokroć jest donioślejsza z punktu widzenia społecznego.

Uznając takie postawienie sprawy za jedynie słuszne, widzimy życiowe jej ujęcie w instytucji lekarzy domowych, na których opiera się obecnie lecznictwo ubezpieczeniowe. Bodaj, że jest to obecnie jedyna droga, umożliwiająca rzeczowe postawienie i przeprowadzenie walki z gruźlicą. Lekarz domowy bowiem, związany stale z pewną ilością rodzin, ma nietylko możność, lecz winien mieć i obowiązek leczyć chorych spośród powierzonych jego pieczy ubezpieczonych z rodzinami. Winien on również rozciągnąć swą opiekę przedewszystkiem na zdrowych i chronić ich przed zakażeniem. Bliski kontakt domowego lekarza z uprawnionymi do świadczeń ułatwi mu znakomicie spełnienie tego trudnego zadania, na jakiem poradnie przeciwgruźlicze skupiają swe wysiłki.

Jeżeli wziąć pod uwagę, że według najskromniejszych obliczeń straty gospodarstwa narodowego w Polsce, spowodowane gruźlicą, sięgają 2, a może nawet 3 miljardów złotych rocznie, to wówczas dopiero staje przed oczyma niewątpliwie i u ludzi mniej wrażliwych na cierpienia ludzkie ogrom klęski społecznej, jaką powoduje gruźlica.

Obywatelki i obywatele! Wy wszyscy, na wszelkich szczeblach życia państwowego i społecznego żyjący, alarmujemy Was: Gruźlica w Polsce rozwija się!

Co trzydziesty obywatel polski — czy to człowiek dorosły, czy też dziecko — skazany jest — o ile nie otrzyma ratunku — na śmierć gruźliczą.

I dlatego alarmujemy: Gruźlica!

K. O.

Dziwna sprawa

Jedna z większych pracowniczych organizacyj zawodowych w stolicy, grupująca w swych szeregach również kilkaset członkiń — pracowniczek umysłowych — zorganizowała ostatnio zgromadzenie w nader aktualnej dla świata pracowniczego sprawie, mianowicie warunków pracy kobiet. Na kilka setek wezwań, rozesłanych imiennie, stawiło się w okresie dwugodzinnego oczekiwania dziewięć pań. Zgromadzenie nie odbyło się.

Byłoby nader ważne dla pracowniczego ruchu zawodowego objektywne zbadania tej sprawy i ustalenia faktycznych przyczyn niezgłoszenia się kobiet pracujących na to zgromadzenie. Zachodzić bowiem mogą takie możliwości: albo organizacja zgromadzenia była wadliwa, albo zwołanie zgromadzenia było wogóle niepotrzebne, albo wreszcie — członkinie tej organizacji, wezwane na zgromadzenie, nie są godne — ze względu na ich nieuspołecznienie — należenia do poważnej organizacji zawodowej.

W każdym bądź razie tego rodzaju nieudane wystąpienia publiczne nie powinny mieć bezwarunkowo miejsca; wyrządzają one wielką dla świata pracowniczego szkodę moralna.

JÓZEF CZYŚCIECKI.

Wyprostujmy karki!

Było to tak: do pewnego urzędu, czy instytucji publicznej, mniejsza o nazwę, przyszło pismo od władzy wyższej, — tak to określmy symbolicznie, — w którem wyraźnie „stało", że życzeniem tej władzy jest, aby wszyscy pracownicy podległej instytucji zapisali się gremjalnie i dobrowolnie do — powiedzmy — „Towarzystwa Popierania Wzniosłych Celów" — i zgodzili się, oczywiście dobrowolnie i spontanicznie, na potrącanie składek z poborów. Władza Wyższa „nie wątpiła" w piśmie, że naczelnik urzędu „dołoży wszelkich starań, aby umożliwić wszystkim (wszystkim — było rozstrzelonem pismem, przyp. aut.) pracownikom spełnienie szczytnego obowiązku". Pan naczelnik zaczął więc „umożliwiać". Wezwał do gabinetu Węszynoska, speca od organizowania dobrowolnych składek i czuwania nad prawomyślnością pracowników i powierzył mu zebranie deklaracyj od wszystkich pracowników. Węszynosek roztopił się w najpoddańszym uśmiechu jak masło na słońcu i wyszedł, a właściwie, jako roztopiony, wyciekł z gabinetu naczelnika. Zaraz sporządził odpowiednią listę i rozpoczął zbieranie podpisów.

Pracownicy zgrzytali cichutko zębami, odchylając równocześnie wargi, aby nazewnątrz to zgrzytanie imitowało uśmiech, wyrażający radość spowodu umożliwienia im i t. d. Węszynosek podsuwał każdemu listę z anielskim uśmiechem, chytremi oczkami pełzał po obliczach podpisujących dla sprawdzenia czy „spełniają obowiązek" dostatecznie dobrowolnie i ochoczo, po uzyskaniu podpisu robił przy nazwisku „ptaszka", — i tak szedł tanecznym krokiem od pokoju do pokoju, od biurka do biurka, szczęśliwy, radosny, państwowo twórczy.

Gdy na liście brakowało już zaledwie trzech czy czterech podpisów, zatrzymał się przed biurkiem Jana Cichego, starszego i potulnego urzędnika.

I tu stała się rzecz straszna, w dziejach ostatniego kilkulecia nienotowana: Cichy odsunął listę energicznym ruchem i spokojnym, ale zdecydowanym głosem powiedział:

— Nie podpiszę!

Węszynosek zachwiał się na nogach i zaczął nieprzytomnie mrugać oczami. Dopadł stojącej na oknie karafki z wodą, opróżnił pośpiesznie jej zawartość, uszczypał się parę razy w policzek dla sprawdzenia czy jest przytomny i ponownie podsunął Cichemu listę.

— Czyś pan ogłuchł? — warknął Cichy. — Powiedziałem, że nie podpiszę.

Węszynosek padł na krzesło i dyszał ciężko.

— Jakto, — syczał, — pan nie podpisze? Dlaczego?

— Dlatego, że mi się nie chce. Albo dlatego, że dzisiaj wtorek. Albo nie, — dlatego, że pan jest brunetem. Gdyby pan sobie włosy utlenił, kto wie, możebym podpisał.

— Pan sobie kpi, — zazgrzytał Węszynosek. Władza Wyższa... Pan Naczelnik... Współpraca z Rządem...

— Niech pan się uspokoi, panie W. — rzekł Cichy. — O co chodzi? Przecież należenie do Towarzystwa Popierania Wzniosłych Celów nie jest przymusowe. Więc wolno mi nie należeć, prawda? A motywy? Czy mnie interesuje to, dlaczego pan nie należy np. do „Towarzystwa Przyjaciół naszych przyjaciół, którzy są naszymi przyjaciółmi"?

— Gdyby to było życzeniem Władzy Wyższej i Pana Naczelnika niewątpliwie należałbym, — zapewnił Węszynosek.

— No, a ja nie chcę, — mruknął niecierpliwie Cichy — już taki jestem zimny drań.

Węszynosek wyleciał z pokoju i zataczając się jak pijany sterował w kierunku gabinetu naczelnika.

Tymczasem niesłychany postępek Cichego zelektryzował całe biuro. Pokój, w którym urzędował Cichy, zapełnił się ciekawymi. „Co za morowy chłop" — myśleli wszyscy, — i „Ależ to oburzające"! — mówili głośno. „Kochany, prawy, odważny człowiek" — myśleli wszyscy, — i „warchoł, partyjnik" — mówili głośno. Ktoś wyraził przypuszczenie, że Cichy zwarjował. Ktoś sprawdzał pośpiesznie tabelę wygranych loterji klasowej, przypuszczając, że Cich ywygrał miljon i dlatego nie zależy mu na posadzie. Po biurze niósł się gwar głosów różnej wysokości i barwy, przypominający orkiestrę strojącą instrumenty. Tylko Cichy był cichy i spokojnie załatwiał kawałki, aż do chwili, gdy woźny oznajmił, że pan naczelnik prosi.

Powiew grozy przeszedł po biurze i złowrogie milczenie zgasiło, jak pałeczka kapelmistrza, kakofonję rozmów. Gdy drzwi gabinetu naczelnika połknęły Cichego, z piersi zebranych wyrwało się westchnienie, podobne do tego, które towarzyszy trumnie spuszczanej do grobu.

„Biedny Cichy, szkoda go" — myśleli wszyscy współczująco. „Dobrze mu tak, niech się nie stawia" — powiedzieli głośno i zabrali się do pracy.

*

Naczelnik patrzył długo na Cichego i nie mógł wydobyć z siebie słowa. Wreszcie wykrztusił:

— Czy pan nie chory?

— Jestem zdrów jak rydz, — odpowiedział śmiało Cichy, nie bacząc, że ośmiela się porównać z wysoko postawioną osobą.

— A może pan wypił wczoraj zadużo i jeszcze panu z głowy nie wywietrzało? — indagował dalej naczelnik.

— Jestem trzeźwy, jak polityka gospodarcza rządu, — zapewnił Cichy.

— A, widzi pan, ucieszył się naczelnik. — To znaczy, że pan...

— Ach nie, nie — przerwał Cichy. — Użyłem może nieścisłego porównania. Jestem naprawdę trzeźwy.

— Więc dlaczego do cholery ciężkiej! — ryknął naczelnik, wstając z krzesła — nie podpisał pan listy!?

— Siadajmy, panie naczelniku, i pomówmy na ten temat spokojnie, — zaproponował Cichy. — Jestem starym urzędnikiem, zawsze byłem służbistą, wszystkie swoie obowiązki wykonywałem dobrze. Sam pan naczelnik stawiał mnie niejednokrotnie za wzór młodszym. Prawda?

— Prawda, — potwierdził naczelnik.

— Ale wczoraj, właśnie wczoraj, — a dlaczego wczoraj, to sprawa zbyt skomplikowana, aby ją w tej chwili wyjaśniać, — przyszło mi na myśl, żeby być nietylko urzędnikiem, ale i człowiekiem. To znaczy robić to co do mnie należy, jak dotąd, ale zachować przytem godność osobistą. Lojalność pracownika publicznego wobec rządu i państwa określona jest ramami ustaw, których urzędnik jest zarówno wykonawcą jak i podmiotem, i przepisów służbowych, które normują jego obowiązki. Odmawiając przystąpienia do Towarzystwa, do którego przynależność nie jest przymusowa, nie wykraczam poza ramy tej lojalności. Stwierdzam tylko przez tę odmowę, że korzystam z prawa dysponowania swoją osobą, którą mogę uczynić członkiem wszystkich stowarzyszeń przez prawo uznanych. O wyborze jednak tych stowarzyszeń chcę decydować sam, ja sam, uważam się bowiem za uświadomionego obywatela i sugestje moich władz przełożonych w tej dziedzinie uważam za niepotrzebne, a nawet za społecznie szkodliwe, one to bowiem doprowadziły do rozpanoszenia się wśród rzesz pracowniczych instytucyj publicznych serwilizmu, — one to w konsekwencji zdeptały godność osobistą pracownika, spaczyły jego etykę, zniszczyły największy klejnot moralny człowieka: odwagę cywilną i niezależność myślenia. Warstwa pracownicza musi się z tego otrząsnąć, jeżeli nie chce zejść do poziomu niewolników i karłów moralnych. Dosyć już tego łamania charakterów i upokarzania ludzi! Wartość pracownika niech określają jego kwalifikacje fachowe, a nie giętkość kręgosłupa i zdolności skradzione chorągiewce na dachu. Czas w masy pracownicze rzucić hasło: prostujmy karki!

Cichy mówił jeszcze długo i mądrze. Ale nikt go nie słyszał. Okazało się bowiem, że naczelnik zemdlał zaraz przy pierwszych słowach wywrotowego przemówienia.

15 listopada 1935 roku

Ostatnie, niebywałe pod względem wysokości, obniżki płac pracowniczych wywołały zrozumiałe poruszenie w całem społeczeństwie.

Omawiając w „Echu Społecznem" zagadnienie uposażeń pracowniczych podkreślano słusznie, zawsze i stale, **że obniżanie siły nabywczej mas pracowniczych wpływa najfatalniej na życie gospodarcze kraju, że pod wpływem tych zniżek kurczą się obroty i zmniejszają wpływy do kas skarbowych, których sumy nie wyrówna wpływ obniżania płac.**

Jeszcze nie weszły w życie ostatnie dekrety, a już pod ich uderzeniem, stwierdzono zmniejszenie obrotów w handlu detalicznym o 40%. A cóż będzie później, gdy pracowniczy wydadzą o 210 milj. zł. mniej?

Pragniemy wyrazić nadzieję, że ten sposób ratowania równowagi budżetu Państwa zostanie poddany rewizji, że konieczne jest ustalenie dla tego celu innej drogi.

Wymaga tego najżywotniejszy interes Państwa.

Ostatnie zarządzenia redukcyjne posiadają, oprócz gospodarczych, jeszcze inne ważne momenty, które, jak dotychczas, nie zostały (albo bardzo nieznacznie), przyjęte pod uwagę.

„Echo Społeczne" często bardzo omawiało zagadnienia organizacyjne świata pracy, wskazując niedomagania i usterki, panujące w tej dziedzinie.

Należy stwierdzić, że wejście w życie nowych obniżek płac, w formie zwiększonego podatku, przyczem zwiększonego bardzo stosunkowo znacznie dla płac niższych a nieznacznie dla wysokich — to zdecydowany objaw słabości organizacyj pracowniczych.

Nie należy już dzisiaj nikogo oskarżać. Nic nie pomoże wyszukiwanie winnych.

Należy sobie natomiast wyraźnie powiedzieć, **że trzeba raz skończyć z biernością, ze stanem zupełnej bezbronności świata pracy, a pracy umysłowej przedewszystkiem.**

Niezbędne jest **scalenie, stworzenie istotnej niezależnej reprezentacji,** która z jednej strony czuły się silną zaufaniem rzesz pracowniczych i była najzupełniej pewna solidarnego poparcia swych poczynań. Z drugiej zaś potrafiła zająć stanowisko, zmuszające do liczenia się z nią czynników miarodajnych conajmniej tak, jak te czynniki liczą się z reprezentacją sfer gospodarczych.

Przy obecnym stanie rzeczy przedstawiciele sfer gospodarczych, a więc znacznej mniejszości społeczeństwa, rozmawiają z czynnikami decydującymi, jak równy z równym, stawiają żądania, przeprowadzają swoje programy.

Natomiast przedstawiciele świata pracy, a więc znacznej większości społeczeństwa, muszą wyżebrywać audjencje, składają memorjały, deklaracje o gotowości do ofiar, proszą, błagają i t. p. i t. p. Wyniki są znane: treść dekretów w Dz. Ustaw Nr. 82 z dn. 15.XI r. b.

Dzień ten, 15 listopada 1935 r., winien stanowić zasadniczy punkt zwrotny w dziedzinie organizacji pracowników.

Należy się skupić, stworzyć poważną reprezentację, składającą się z ludzi niezależnych, ideowych, którzy sercem i rozumem obejmowaliby wagę zagadnienia i ze świadomością odpowiedzialności spełniali swą rolę.

Oparci o zaufanie i **pewni posłuchu rzesz pracowniczych,** nasi przedstawiciele zorganizowanego świata pracowniczego będą mogli **skutecznie walczyć o prawo do życia swych mocodawców. Będą mogli ich ustrzec od tego, co dzieje się teraz: od nędzy, głodu, pauperyzacji i deklasowania.**

Przegląd zagraniczny

Najdonioślejszem wydarzeniem ostatnich dni 1935 roku było pogrzebanie francusko-brytyjskiej propozycji pokojowej, znanej pod nazwą projektu Laval - Hoare. Zrodził się potworek późnym wieczorem dnia 8 grudnia 1935 r., jako dzieło rąk dwóch „rzeczoznawców" (bez cudzysłowu wyrazu tego użyć nie można) pana Petersona z Foreign-Office i p. de Saint Quentin z Quai d'Orsay. Patronowali mu p. p. Laval i Hoare, usiłując wywołać wrażenie, szczególniej pierwszy z nich, że spełniają wyraźnie zlecenie Ligi Narodów. Zaledwie jednak niedyskretni dziennikarze wbrew zamiarom autorów odsłonili rąbek tajemnicy cudowny środek na pokój już był skompromitowany, rzeczoznawstwo budziło politowanie, a pokojowe tendencje projektu — ironję i pogardę. Gdy 9 grudnia na łamach prasy ukazały się pierwsze niezupełnie dokładne, ale naogół niewiele odbiegające od rzeczywistości punkty projektu „wymiany terytorjów pomiędzy Włochami a Abisynją" i ustalenia „strefy ekspansji gospodarczej i ludnościowej Włoch w Abisynji", ustalone przez rządy brytyjski i francuski jako podstawa układu pokojowego pomiędzy Włochami i Abisynją, cały świat wpadł w osłupienie.

Ani jedna z zasad, które stanowiły podstawę akcji pokojowej Ligi Narodów i rządów W. Brytanji i Francji nie była uszanowana w tych propozycjach. W artykule 10-tym pakt Ligi Narodów głosi: „Członkowie Ligi Narodów zobowiązują się do poszanowania i osłonięcia od wszelkiej napaści zewnątrz całości terytorjalnej i niepodległości politycznej obecnie istniejących wszystkich członków Ligi Narodów. W razie napaści, groźby lub niebezpieczeństwa napaści Rada Ligi podejmie zarządzenia dla zabezpieczenia wykonania tego zobowiązania". Pakt Brianda-Kelloga przeciw wojnie t. zw. paryski podpisany przez wszystkich członków Ligi Narodów i kilka mocarstw do niej nie należących w art. 2-im brzmi j. n.: „Wysokie Strony układające się uznają, że uregulowanie lub rozstrzygnięcie wszystkich sporów lub zatargów wszelkiego rodzaju lub pochodzenia, które mogą powstać między nimi, nie może nigdy nastąpić w innej drodze, aniżeli pokojowej".

Wystarcza przypomnieć te dwa postanowienia konstytucji międzynarodowej, pomijając to wszystko, co brytyjscy mężowie stanu i polityce francuscy mówili w szczególności ex re zatargu włosko - abisyńskiego, aby powiedzieć, że plan Laval-Hoare'a nie miał nic wspólnego z pokojowem sprawiedliwem rozstrzygnięciem zatargu i że jak to później określiła jednomyślnie opinja publiczna stanowił poprostu „premję dla napastnika", czego nie mogły zmienić wielokrotne przysięgi, że przecież nikt tej propozycji nie zamierza urzeczywistnić bez zgody trzech stron zainteresowanych, t. j. Abisynji, Włoch i Ligi Narodów. Mieliśmy przed sobą najjaskrawszy przykład niedołężności tak zwanego rzeczoznawstwa na usługach polityki, ekspertyzy serwilistycznej, która wszystko uzasadni i wszystko dociągnie do zgóry zakreślonego rozkazu. Czyż trzeba było ekspertów trudzących się przez wiele tygodni po to, aby odciąć od Abisynji część okupowanej przez Włochy prowincji Tigre z pozostawieniem łaskawem świętego miasta Aksum przy państwie Negusa, lub po to, aby machnąć kolonizacją włoską przeszło jedną trzecią część Abisynji w jej części południowej i wszystko to „zrekompensować" Abisynji przez pasek ziemi, który „Times" słusznie nazwał „korytarzem dla wielbłądów" idącym od podnóża góry Mussa-Ali do włoskiego portu Assab. Tego rodzaju wykres mógł być zrobiony przez bylejakiego sierżanta z instytutu kartograficznego na rozkaz władzy przełożonej. Poco tu było opowiadać o fachowej i żmudnej ekspertyzie... Nic też dziwnego, że zanim zainteresowane strony zdołały odpowiedzieć urzędowo, potworek propozycji już był martwy. Urzędowo stwierdzono jego zgon na dramatycznem posiedzeniu izby gmin w dn. 19 grudnia, kiedy po szczerej spowiedzi sir Samuela Hoare'a, zakończonej łzami, a poprzedzonej dymisją, premjer Baldwin równie szczerze wyznał, że plan paryski nietylko jest martwy, ale nawet pogrzebany i rząd brytyjski nic nie uczyni, aby go wskrzesić. Z wyznań premjera Baldwin'a najważniejszem jednak było, że ten zgon projektu, który nie wyżył nawet dziesięciu dni jest wynikiem reakcji opinji publicznej W. Brytanji. Projekt paryski odrazu nie podobał się gabinetowi brytyjskiemu, ale w zakłopotaniu rozglądano się co z nim zrobić. A nuż odda usługi, a nuż szef rządu włoskiego poraz pierwszy na coś zgodzi się... Przychodziła wprawdzie mało ideowa, ale często angielska refleksja, że „co nagle to po djable", wyznał i to p. Baldwin, sarkając na dyktatorów, że prą do szybkich decyzji, podczas gdy zawsze lepiej jest działać powoli, na zimno, po angielsku.

Przychodzą zresztą i wieści z Italji. Mussolini inauguruje jedno z wielkich osiągnięć swego reżimu, trzecie miasto na osuszonych błotach Pantyjskich, po Littorji i Sabaudji otwiera miasto Pontinję. Korzystając z tej okazji przed wysłaniem odpowiedzi na propozycje, mówi kilka soczystych słów pod adresem mocarstw zachodnich. „Naród złożony z 44 miljonów ludzi nietylko mieszkańców, ale dusz, nie pozwoli bezkarnie ujarzmiać się, a tembardziej nie da się mistyfikować... Przeciwko nam utworzył się, zaprawdę, front konserwatyzmu, egoizmu i hipokryzji. Pewny jednomyślnego poparcia całego narodu włoskiego ustrój faszystowski będzie strzelał wprost, nie potrzebuje i nie chce używać innych środków, wystawieni jesteśmy na próbę, ale wyjdziemy z niej zwycięsko, gdy toczy się walka, nie czas grać rolę, lecz jedynie zwycięstwo..." — oto najważniejsze ustępy mowy Il Duce w Pontinji tak, jak głoszono je w prasie włoskiej. Do stolic zachodnich doszły one w redakcji nieco bardziej drażniącej, wspomniano w niej o narodach starszych i zniedołężniałych, z których wolą nie będzie liczyć się pełen sił, a jednocześnie pokrzywdzony naród proletarjuszy włoskich. Zresztą nie stanowi wielkiej różnicy, czy Anglję i Francję traktuje się jako wielkich mistyfikatorów i hipokrytów, czy też dorzuca się jeszcze do tego starczość i zniedołężnienie. W każdym razie do refleksji Baldwin'a o zbytnim pośpiechu musiały jeszcze dojść rozważania o stanowisku dyktatora Włoch, który wprawdzie „bardzo" sobie ceni wysiłki pp. Lavala i Hoare'a", ale zamierza nadal, jak głosi hasło faszystowskie „tivere diritto" (strzelać prosto). Wszystkie te rozważania przerwać musiała wzrastająca fala oburzenia opinji angielskiej i wszechświatowej. Przyznał się do tego p. Baldwin w izbie gmin w tym samym mniej więcej momencie, kiedy izba lordów jednomyślnie uchwalała rezolucję lorda Davies'a potępiającą projekt Laval - Hoare'a. Nie warto robić dociekań o zakulisowej stronie planu i badać czy Hoare działał pod wpływem przerażenia, że w razie zaostrzenia zatargu W. Brytanja będzie musiała na własną rękę stosować sankcje, nie licząc na pomoc Francji, czy książę Humbert za pośrednictwem szwagra króla Leopolda III apelował do króla Jerzego V, aby ratował tron i dynastję włoską, czy Hoare działał na własną rękę, wyznając zasadę „Intellingence Service", nie bardzo dostosowane do paktu Ligi Narodów i wymagań dyplomacji dążącej do bezpieczeństwa zbiorowego. To wszystko jedno. Imponującym jest fakt zwycięstwa opinji publicznej i jeszcze bardziej stwierdzenia tego przez konserwatywny rząd W. Brytanji, bijący się w piersi i uchylający czoła przed tą opinją. Prostą konsekwencją tego było powierzenie teki brytyjskiego ministerstwa spraw zagranicznych sir Anthony Eden. Było to wymowne spięcie klamrą wydarzeń 1935 roku, który w ten sposób rozpoczął się pod wrażeniem grudniowych walk pod Ual - Ual, wszczętych wśród mgły dyplomatycznej i zakończył się upadkiem planu, dającego napastnikowi na państwo niepodległe nagrodę z terytorjów napadniętego. W tych faktach jest wymowa dziejów 1935 roku, stwierdzających, że następuje wielka przemiana. Sceptyk odpowie na to zgryźliwym uśmiechem i zwróci uwagę na Daleki Wschód, gdzie właśnie w okresie lekcji historycznej dla faszyzmu włoskiego imperjalizm japoński usiłuje gwałtem urzeczywistnić swoje plany zaborcze w stosunku do Chin. Sceptycyzm będzie tu narazie przedwczesny. Istotnie Japonja kierowana przez armję kwantuńską usiłuje pod pretekstem autonomji Chin północnych oderwać od Chin połowę kraju i połączyć ją pod berłem swojego pionka cesarza Mandżu-ti-kuo Kang-teh'a, istotnie zagony japońsko - mandżurskie sięgają na zachód od Mongolji Zewnętrznej, znajdującej się pod protektoratem Z. S. R. R., ale czy nie przedwczesnem będzie wydanie apodyktycznej opinji, że te wszystkie plany japońskie powiodą się i że gwałt i przemoc potępione w Afryce triumfować będą w Azji? Na krótką metę obliczone są chwalby dla wielkiej mądrości japońskiej, a co gorsze, pochodzą one z takiego samego „rzeczoznawstwa", jak plan abisyński p. p. Petersona i Saint-Quentin'a.

Sędziwy i zasłużony profesor Masaryk, twórca państwa czechosłowackiego ustąpił, dokonał tego w sposób, który zarówno, jak ostatnie przesilenie angielskie, winien budzić podziw i uznanie w innych społeczeństwach. Ponieważ znał dobrze trudności wewnętrzne, które mogłyby powstać, gdyby jego nie stało, chciał, aby zmiana dokonała się przy nim, za jego radą i w jego obecności. Ustąpił, wskazał następcę w osobie min. Benesza. Republika Czechosłowacka nie rozpadła się, a nowe rządy korzystać będą nadal, póki los pozwoli, z rady i wskazówek doświadczonego starca-filozofa, który przeniesie swą siedzibę z urzędowego Hradczyna do pałacyku w Lanach. Wbrew opinji „rzeczoznawców", którzy uznając życzenia swoich panów za rzeczywistość, widzieli w bliskiej przyszłości „finis Czechosłowakiae", należy stwierdzić, że w republice tej nastąpi w najbliższym czasie poprawa stosunków w dziedzinie, która tej powy wymaga — t. j. w dziedzinie stosunku do mniejszości narodowych.

Rok 1935 jeszcze i w innych zakątkach świata przyniósł reakcji społecznej i politycznej duże rozczarowania. Zgodnie z tem, co w poprzedniej kronice „Echa Społecznego" przewidywano, kończy się reżim reakcji w Hiszpanji. Pod mądrem kierownictwem prezydenta Alcala Zamora odchodzi do przeszłości reakcyjny parlament. Narazie odroczono kortezy. Niewątpliwie nastąpi ich rozwiązanie. Już stoi u steru rząd przejściowy Valladares'a, który pozbył się z ministerstwa wojny kandydata na dyktatora faszystowskiego Hiszpanji Gil-Robles'a. Rząd ten zarządzi w najbliższym czasie nowe wybory, wybory uczciwe, które umocnią i utrwalą ustrój republikański i demokratyczny Hiszpanji, posuną naprzód rozwój tego kraju o wielkiej tradycji przez wykonanie reformy rolnej, bo bez niej ogromna większość narodu nie może wydobyć się na poziom życia kulturalnego.

I w jednym jeszcze kraju, o starodawnej kulturze, w Helladzie, rok nowy przyniesie uczciwe wybory. Zarządził je u schyłku 1935 roku, rząd króla Jerzego II, rozwiązując Zgromadzenie Narodowe, wybrane pod butem wojskowym gen. Kondylisa. Rząd (królewski tym razem) Demetrzisa na czas wyborów, wyznaczonych na 26-go stycznia r. b. wydał bardzo oryginalne, ale wiele mówiące zarządzenie: wszyscy naczelnicy powiatów, gubernatorowie i t. p. władze administracyjne na ten okres zostają usunięci, zastąpią je władze sądowe, które w dziwny sposób przetrwały czasy zmieniających się rządów wojskowych. Uczciwi sądownicy nadzorować będą wykonywanie władzy w okresie wyborów...

W przededniu Nowego Roku 1935-go chrześcijański rząd korporacyjnej Austrji nie zarządził jeszcze wyborów powszechnych, do których poza Grecją i Hiszpanją stanie w nowym roku i Egipt, ale ogłosił amnestję dla tak zwanych więźniów i przestępców politycznych. Amnestja ogarnia przedewszystkiem działaczów Schutz-bundu, przywódców walk w lutym 1934 roku. Z więzienia wyjdzie nawet szef zbrojnych oddziałów socjalistycznego Schutzbundu, kpt. Löwe...

Oto był ostatni akord 1935 roku. Bodaj by stanowił on zapowiedź dobrej symfonji 1936 roku.

t. r.

Problematy litewskie

(Korespondencja własna „Echa Społecznego")

KOWNO, w grudniu 1935.

Od lat kilkunastu, z przyczyn politycznych, możemy obserwować życie wewnętrzne Litwy jedynie przez pryzmat wiech granicznych, które z łatwością dostrzegamy z okien wagonu na trasie Warszawa — Wilno. Jakkolwiek ułożą się dalsze stosunki sąsiedzkie między obu państwami, sprawy litewskie nie przestaną żywo interesować opinję po naszej stronie.

Jednym z problematów najbardziej w tej chwili aktualnych, to wciąż się powtarzające bunty chłopskie, rozpoczęte ubiegłej jesieni na Suwalszczyźnie. Rebelje te znane nam są dobrze z dziejów. Była to zwykła, odruchowa reakcja przeciwko despotyzmowi możnowładców, częściej jeszcze wytwarzała je pauperyzacja. Tu jednak na Litwie, w kraju wybitnie włościańskim, wojna chłopska, oparta jest na przesłankach o wiele głębszych, co zatem idzie interesujących nas, jako zagadnienie. Co właściwie jest przyczyną tych osobliwych ruchów zbrojnych na Litwie? Czy, jak to dawniej przypuszczano, akcja ta wywołana została zzewnątrz, przez ościenne nieprzychylne dla Litwy czynniki polityczne? Napozór takby się wydawało, gdyby nie to, że znajomość psychiki ludu litewskiego każe mi szukać powodów rebelji gdzieindziej. Lud ten jest jednym z najpracowitszych i najcierpliwszych zarazem w Europie, w jego naturze mieści się synteza silnej woli i skrytości, a ponadto głęboka religijność. Zważywszy to, dziwnem się wydaje ukazanie się tego ludu w pozycji zaczepnej.

Czytając w swoim czasie o krwawych wypadkach na Suwalszczyźnie wyczuwałem w nich podłoże głębsze, niżby się pozornie zdawało. Jedną z przyczyn stała się bezwątpienia tendencja rządu zbliżenia wsi do stolicy.

Jeśli się zatem zarzuciło sieć połączeń autokarowych, które pozwalają na „przecielkanie" kultury stołecznej na daleką prowincję, jeśli popularyzacja wiedzy przez radjo, uniwersytet kowieński i koła oświatowe zaczęła przenikać do najdalszych zakątków kraju, trudno było się dziwić, że wcześniej, lub później chłop litewski ocknie się z uprzedniej atrofji politycznej i po swojemu zawoła o prawo do współuczestnictwa w życiu politycznem państwa, w którem jak wiadomo stanowi $^{9}/_{10}$ ludności.

Zamknięty od lat dziesięciu Sejm kowieński nie dawał możliwości wypowiedzenia się przedstawicielom włościaństwa litewskiego. Mam tu na myśli nietylko rolników, jako zawód, ale i wielkie ugrupowanie polityczne pod nazwą Ukininku Vienybe (Zjednoczenie rolnicze).

Jak powiedzieliśmy, lud litewski przejrzał; — wykształciło go Kowno bezpośrednio, warto jest bowiem wiedzieć, że pęd do nauki na wsi jest ogromny, a trzy czwarte tegorocznych akademików Kowieńskiej Wszechnicy im. Witolda, to dzieci ludu. Studenci ci utrzymują nieustanny kontakt ze wsią, sam to widziałem jak w czasie feryj letnich udają się oni tłumnie pod strzechy rodzicielskie, aby służyć starszemu pokoleniu nietylko swoją fachową umiejętnością, ale i silnem ramieniem przy pracy na roli.

Jeśli się o tem wie, jasnem się staje, że powtarzające się ostatnio ciągłe wybuchy wojny chłopskiej noszą raczej charakter **ruchu politycznego,** niż zwykłej reakcji.

Żądania włościaństwa litewskiego odnoszą się w pierwszym rzędzie do zwołania Izby Parlamentarnej, a za jej pośrednictwem — do ścisłej ingerencji w rządach. Odium ludu skierowało się ostatnio w stosunku do poprzedniego ministra rolnictwa, p. Aleksy, który będąc mężem zaufania potężnego stronnictwa rolników, działał w sposób wręcz prowokujący na szkodę stanu włościańskiego!

Z właściwą sobie przenikliwością odkrył lud litewski szybko janusowe oblicze p. ministra Aleksy i wypowiedział mu bezwzględną walkę. Oto było preludjum do dalszej akcji dramatycznej, o przebiegu której donosi nam co kilka tygodni telegraf. Oto jedna z przyczyn rewolty, ale nie jedyna.

Z przesłankami politycznemi związały się również błędne posunięcia ekonomiczne, te zwłaszcza, które godziły w interesy włościaństwa.

Skartelizowane kooperatywy litewskie: „Pienocentras", „Maistas" i „Lietukis" — odpowiadające centrali zakupu przetworów mlecznych, rolnych i eksportu bekonów, stały się dzięki krótkowzrocznej polityce rządu Tubialisa, mackami polipa, wysysającemi siły żywotne z przymusowych dostawców. Zniżywszy ceny zakupu, podniesiono jednocześnie stawki na żelazo, naftę i otręby — trzy najniezbędniejsze przedmioty pierwszej potrzeby rolnictwa. Wszystko to w sumie wyczerpało bezprzykładną cierpliwość ludu litewskiego.

Posypały się więc na razie protesty w prasie, za niemi poszły odezwy agitacyjne, rozrzucane po wsiach i dworach, wreszcie, wspomniana uprzednio fala ekscesów zbrojnych. Dzięki nim wytworzyła się na Litwie atmosfera, zbliżona do krótkiej pauzy między szeregiem wstrząsów sejsmicznych. Wydaje mi się pewne, że sprawa pacyfikacji wsi jest w dniach obecnych dla Litwy problemem ważnym, jeśli nie — najważniejszym. Jako świadek naocznych ostatnich wydarzeń politycznych, jestem przekonany, że powrót do parlamentaryzmu opartego na znacznej, decydującej większości Zjednoczenia Rolniczego, jest dla Kowna kwestją jeśli nie najbliższych dni, to niedalekiej przyszłości.

Oczywiście w przypuszczeniach tych mogę się mylić. Każda bowiem gra polityczna przynosi wygraną nie zawsze najlepiej do niej przygotowanym, ale bardzo często — najszczęśliwszym. Uważam jednak, że oświetlenie współczesnej wojny chłopskiej na Litwie jako opartej jedynie o pobudki ekonomiczne nie jest ścisłe. Wręcz odwrotnie — może żadna rebelja w dziejach znana nie odznaczała się tak wybitnie ideowym charakterem, jak jesienne i obecne wypadki polityczne na kowieńszczyźnie.

Zresztą ten problemat, tak ważki dla istnienia państwa litewskiego nie jest bynajmniej — jedynym. Ale o tem przy innej okazji.

Prof. Wł. Burkath.

Zmiana w „Nakazach dnia"

W wydawnictwie „Nakazy Dnia", o którem pisaliśmy w numerze 12 „Echa Społecznego" nastąpiła zasadnicza zmiana kierunku ideowego. Pan Tytus Filipowicz ustąpił z tego wydawnictwa. Powodem ustąpienia jest szereg artykułów, jakie wydrukowane zostały w „Nakazach Dnia" bez wiedzy i zgody Pana Filipowicza, przebywającego wówczas poza Warszawą i których nastawienia nie harmonizuje z ideologją tego znanego i zasłużonego działacza politycznego i społecznego.

Istotnie, obecny kierunek i poziom „Nakazów Dnia" nie może zaspokoić wymagań obywatela, poniżej przeciętnie wyrobionego społecznie.

Varia

Obowiązkowa służba pracy w Niemczech.

W dniu 1.X 1935 r. weszła w życie ustawa o obowiązkowej służbie pracy na terenie Trzeciej Rzeszy, 180 tysięcy ochotników, którzy odbyli jednoroczną służbę w kadrach pracy, ustępuje miejsca rocznikowi 1915, który po odbyciu półrocznej obowiązkowej służby pracy, przejdzie do szeregów wskrzeszonej armji, która w ten sposób zyskuje na korzyść wyszkolenia wojskowego kilka miesięcy, bowiem łatwo wnioskować, że okres służby rekruckiej odbywać będą młodzi Niemcy w obozach pracy. Pewnego rodzaju zatem maskowanie okresu oficjalnego przeszkolenia wojskowego.

A bezrobocie na świecie rośnie.

Międzynarodowe Biuro Pracy w Genewie w sprawozdaniu swem o bezrobociu stwierdza, że w ciągu ostatnich dwóch lat nastąpił wzrost bezrobocia we wszystkich dziedzinach pracy umysłowej. Sprawozdanie podaje niektóre kraje w swej statystyce. Z nich w Finlandji np. w połowie 1934 r. oceniano liczbę bezrobotnych pracowników umysłowych na 5.000 osób. W Łotwie na zasadzie ankiety w roku 1933 ustalono 6,500 bezrobotnych tej kategorji.

W Polsce w/g obliczeń z marca 1935 r. stwierdzono wśród ogólnej liczby 570.000 bezrobotnych — 170.000 pracowników umysłowych bez pracy.

Szwajcarja liczyła w początkach b. r. 7.000 bezrobotnych tylko z wykształceniem technicznem.

50.000 osób z dyplomamia wyższych uczelni i bez pracy, zarejestrowano w Niemczech 1933 r.

U. S. A. miały wśród samych lekarzy w r. 1932 — 3.000 osób bez pracy.

Wszędzie, jak wnioskuje sprawozdanie Międzynarodowego Biura Pracy, ilość bezrobotnych pracowników umysłowych wzrasta, a to przez szybki przyrost liczby młodych zawodowców, opuszczających z dyplomem wyższe zakłady naukowe.

Podatek od... ptaków domowych.

U naszych „pobratymców" południowych źle się widać dzieje, skoro w/g doniesień czeskiego pisma „Duch Czasu" miasteczko Zagrzeb na Morawach ratuje się przed kryzysem opodatkowaniem obywateli... od ptaków domowych.

Trudno będzie pomysłowemu burmistrzowi Zagrzebia przeprowadzić wymiar tego dziwnego podatku. Tymczasem jednak, spotkał się on z zarzutem, by rzucić myśl o opodatkowaniu ptaków, a opodatkował np. guziki od spodni lub chusteczki od nosa.

W ŚWIECIE SZTUKI.

Na marginesie wystawy „Rytu"

w Instytucie Propagandy Sztuki

Ktoś kiedyś rzucił twierdzenie, że czem w muzyce jest melodja, tem w plastycznem kształtowaniu twórczem — barwa, malarskie przelewanie się tonów, gra i wibracja świetlistych plam. Temu natomiast, co w muzyce odczuwamy jako rytm, jako kadencję — w boskiej sztuce Apollina odpowiada dynamika i statyka linji, charakter konturu obramiającego płaszczyznę, rozmach i zadzierzystość, czy też miniaturowość, wymuskane cyzelatorstwo rysunku.

Tego rodzaju analogje są naogół ryzykowne — raczej dowolne i nieco mgliste; jeżeli jednak chodzi o sztukę polską, uderza ciekawa zbieżność dwóch zjawisk na dwóch różnych terenach artystycznych, zbieżność, która może potwierdzałaby do pewnego stopnia słuszność owej tezy. Wiadomo, że polska pieśń ludowa, że rdzennie polska muzyka — nie mówi się tu oczywiście o wielkich muzykach, lecz o twórczości prymitywnej — nie odznacza się skomplikowaną bogatą melodyjną; w stosunku do pieśni czeskiej czy rosyjskiej jest nawet zdecydowanie a-melodyjna. Cechuje ją natomiast niezmiernie silne poczucie rytmu. Inna zresztą forma sztuki ludowej, w której nie melodja, ale rytm właśnie szczególnie silnie może się wyładować, stoi wszak u nas na specjalnie wysokim poziomie: tańce polskie. — I otóż w malarstwie od najdawniejszych czasów naszą „mocną stroną" jest nie kolor — lecz właśnie linja, rysunek. Mieliśmy oczywiście i znakomitych kolorystów — ale najbardziej rdzennie polscy, najbardziej reprezentatywni dla psychiki narodu plastycy — to genialni, czy choćby wybitnie utalentowani „malarze linji", że wymienimy chociażby Aleksandra Orłowskiego i Juljusza Kossaka. Kiedy na Zachodzie, w okresie impresjonizmu, szaleje powódź barwistych plam, falują płynne, rozlewne, przenikające się wzajem pół- i ćwierćtony barwne, w morzu kolorów roztapia się wszelka podobizna przedmiotu, wszystko co jest konturem, podkreślającym formę — u nas Stanisław Wyspiański wyraża świat, wyraża cały swój uczuciowy i metafizyczny niejako doń stosunek poprzez linję, linję dekoracyjną i witrażową, stosowaną w tych nawet dziełach, które z dekoracją i witrażem nic nie mają wspólnego.

Może to wybuchowy i szorstki nieco temperament polski, stosunek do rzeczywistości raczej uczuciowy niż analityczno-intelektualny, wewnętrzna konieczność rozpędu, wybujałego impetu — znajduje ujście w linji ostrej i wyrazistej, która biegnie daleko jednym szerokim rzutem, albo nerwowo „drobi" płaszczyznę, zastępując rozmach przestrzenny dynamiką ekspresji.

Do tego głęboko zakorzenionego instynktu rasowego nawiązywał niewątpliwie Władysław Skoczylas, kiedy niespełna dwadzieścia lat temu stał się zarówno przez swą własną twórczość, jak przedewszystkiem przez stworzenie całej świetnej szkoły młodych grafików — wskrzesicielem sztuki drzeworytniczej w Polsce. Jasne jest, że drzeworyt, przez sam rodzaj swej techniki, opiera się najściślej na kulturze linji, na fakturze kreskowej. Ręka, uzbrojona w rylec, dosłownie żłobi w materjale rysunek, który przez swe organiczne pokrewieństwo z naturalnym układem słojów drzewnych staje się czemś, co drga życiem, czemś najbardziej bezpośrednio oddającem nastawienie artysty; — a zarazem, dzięki surowym prawom techniki i materjału staje się ową norwidowską sztuką — rzemiosłem, gdzie niema miejsca na „frazeologję plastyczną", na „puszczanie" na kolorkowe efekciarstwo. Nie znaczy to oczywiście, by dzieło grafiki nie mogło być równie powierzchowne i małowartościowe, jak jakiś chybiony obraz sztalugowy — ale tu w każdym razie trzeba doskonale znać rzemiosło, trzeba się poddać dyscyplinie technologicznej, którą tak często zaniedbują całkowicie nasi utalentowani i błyskotliwi a dyletanccy mistrze — domowego chowu.

Na ostatniej wystawie w warszawskim IPS-ie radują oczy swemi niezwykle interesującemi i bardzo zróżnicowanemi osiągnięciami artyści ugrupowania „Ryt", którego założycielem był Skoczylas. Od słynnego „Górala" Mistrza, dzieła, które możnaby uważać dziś już za klasyczny niemal przykład owego kreskowego kształtowania formy, poprzez bardziej malarskie, światłocieniowe drzeworyty Wasowicza, poprzez niezwykle ekspresyjne w swej różnolitej fakturze prace Krasnodębskiej, fascynujące osiągnięciami technicznemi kompozycje Mrożewskiego — i tyle, tyle innych — aż do miniaturowych ex-librisów Chrostowskiego, droga daleka. Rytm i symetrja, surowa jednolitość w równoważeniu czarno-białych walorów, wzorowane na ludowej ornamentacyjności sztuki Skocylasa, — zatracają się — przynajmniej pozornie — w kapryśnych, wypieszczonych cackach graficznych Manteuffla, a zwłaszcza Chrostowskiego, gdzie każda po chińsku cyzelowana kreseczka zdaje się drżeć własnem życiem i nęcić własnym, pełnym uroku, choć może anarchistycznym, uśmieszkiem. Ale jedna i ta sama zasada rządzi wszystkiemi temi, tak różnemi w plastycznem ujmowaniu świata dziełami: ścisłe związanie treści z formą, czujne podporządkowywanie najbardziej rozbujałego „zamętu uczuć", czy też igraszek płochej wyobraźni malarskiej — żelaznym, niezmiennym prawom rzemiosła i materjału. I ten fakt — poza użytkowością tego gatunku sztuki i poza jej szerokim zasięgiem (dzięki odbitkom graficznym) — decyduje o społecznym charakterze grafiki.

Leonja Jabłonkówna.

CO RADJO DAJE LUDZIOM PRACY?

Pierwsza w Polsce radjostacja ruchoma

dotrze do wsi, gór, lasów i morza polskiego

Wkrótce już zjawi się na drogach naszych, w miastach, miasteczkach, we wsiach, a nawet w miejscach od osiedli ludzkich daleko położonych — samochód-radjostacja, jako nowa zdobycz techniczna radjofonji polskiej.

Pozornie samochód ten nie jest osobliwością; zbudowany jest jak wiele wozów o przeznaczeniu handlowem, lub użyteczności publicznej, przypomina samochód pocztowy, od którego różni się chyba tem, że ma dość spore okna, po dwa z każdego boku, i szerokie szklone drzwi w części tylnej. Przy drzwiach dla kierowcy są jeszcze cztery stopnie dostatecznie głębokie, aby z łatwością przebiec z ziemi po ścianie samochodu na jego dach. Wnętrze tego efektownego wozu jest conajmniej tak duże, jak przedział wagonu pullmanowskiego.

Polskie Radjo dawno już odczuwało potrzebę zbudowania takiej ruchomej stacji odbiorczej, która ułatwiłaby i rozszerzyła, jak tego wymaga nowoczesna technika, łączność bezpośrednią z życiem.

W tym celu właśnie Polskie Radjo wybudowało w swych warsztatach w Warszawie radjostację ruchomą. Dzięki temu radjofonja nasza będzie mogła „podchodzić do tematu". Mówiąc prosto i prostym językiem samochód radjowy będzie robił na miejscu „zdjęcia akustyczne", to znaczy, że będzie dzięki instalacji w jaką jest wyposażony, utrwalał wszystko, co słyszy godnego, na specjalnie czułych płytach metalowych, krytych masą. Z tych dopiero bezszumnych płyt rozgłośnia nadawać będzie program na antenę.

Wewnątrz wozu jest kompletne urządzenie sygnalizacyjne do przeprowadzania transmisyj z zewnątrz, zwłaszcza wymagających szybkiego przerzucania wozu z miejsca na miejsce. W zależności od tematu i sytuacji, samochód-radjostacja spełnia zadanie „pogotowia transmisyjnego". Uwagę zwracają mikrofony przenośnemi wzmacniaczami. Nawet na dachu samochodu jest dość miejsca dla ustawienia mikrofonu. Sprawozdawca ma wtedy duże pole widzenia i nie jest skrępowany przez tłum. Technika jest taka, że sprawozdawca i jego techniczny pomocnik, jeżeli wymaga tego sytuacja, biorą mikrofon i przenośne wzmacniacze, ciągną kabel od samochodu, np. wgłąb lasu, gdzie odbywa się wielkie polowanie i stamtąd nadają swe wrażenia przez mikrofon do aparatury, utrwalającej w samochodzie, w którym pozostaje technik nagrywający transmisję na płytach i mechanik, który jest jednocześnie szoferem. Do tej czynności potrzebny jest prąd elektryczny, który wóz radjowy czerpie, włączając się do najbliższego przewodnika prądu świetlnego. Jeżeli takiego przewodnika niema, to samochód wytwarza własną energję w prądnicy, poruszanej biegiem silnika samochodowego.

Odpowiedzi Redakcji

Redakcja „Echa Społecznego" serdecznie dziękuje tym licznym swym przyjaciołom i czytelnikom, którzy raczyli jej przesłać życzenia świąteczne oraz życzliwe o „Echu" słowa.

P. Romana J-icz. Warszawa. Dziękujemy za zgłoszenie projektu. Zastanowimy się nad możliwością otwarcia w „Echu Społecznem" działu porad prawnych.

P. Jan Wa-ng. Warszawa. Bardzo prosimy **o niezwłoczne** zawiadamianie nas o wszelkich brakach kolportażu „Echa Społecznego".

P. Dr. Karol Mak-icz. Lwów. Dziękujemy za obietnicę współpracy. Za artykuły drukowane w „Echu Społecznem", naprawdę płacimy. Drukujemy natomiast n i e w s z y s t k i e artykuły, nadesłane do Redakcji.

P. Zofja Mo-ska. Warszawa. Sprawę funkcjonowania tego szpitala ubezpieczalnianego w stolicy znamy dokładnie. Nie poruszamy chwilowo skandalicznych warunków jego bezpieczeństwa pożarowego i higjeny jedynie przez wzgląd na bliską, niewątpliwie, jego likwidację. Nie rozumiemy tej odwagi cywilnej osób, na których spoczywa bezsporna odpowiedzialność za bezpieczeństwo życia chorych, leczonych w tym szpitalu, z jaką osoby te obciążyły swe sumienia prowadzeniem tej pułapki na ludzi, nadającej się do n a t y c h m i a s t o w e j likwidacji.

P. Aleks. Ł-ski. Kraków. Podzielamy zdanie Pańskie, że propagowanie na łamach „Echa Społecznego" artykułów dyskusyjnych, pisanych przez naszych czytelników byłoby bardzo celowe i korzystne dla ogółu czytelników. Niestety, nasza inteligencja pracująca nie odczuwa jeszcze wewnętrznej potrzeby „wypisywania" swych myśli.

PIĘKNA INICJATYWA WOJEWÓDZTWA POZNAŃSKIEGO

„Radjo Poznańskie", przed przejęciem go przez „Polskie Radjo", było Spółką Akcyjną, której udziałami podzieliły się powiaty i miasta województwa poznańskiego, doceniając znaczenie rozgłośni poznańskiej dla podniesienia kultury województwa.

Obecnie wysunięty został projekt, aby sumy otrzymane z likwidacji spółki „Radjo Poznańskie" przeznaczyć na zakup radjoodbiorników, któreby mogły być zainstalowane w świetlicach, szkołach, względnie innych budynkach publicznych i udostępniły odbiór programów radjowych jaknajszerszym rzeszom ludności. Wszystko wskazuje na to, że uchwały tego rodzaju zostaną powzięte przez poszczególne powiaty i miasta województwa poznańskiego, które w ten sposób w akcji planowej i na szerszą skalę zakrojonej radjofonizacji kraju wysunęły się na czoło innych województw, świecąc pięknym przykładem. Akcja taka będzie skoncentrowana w rękach Kuratorjum Radja Poznańskiego.

Realne ustosunkowanie się samorządu województwa poznańskiego do sprawy radjofonizacji kraju, wskazuje właściwą drogę, po której winny pójść liczne i rozporządzające dużemi wpływami w kraju organizacje. Musimy przyjść wreszcie do tego przeświadczenia, że wysiłek indywidualny nie sprawi cudów, a jedynie planowa i skoncentrowana akcja społeczna wyda właściwe rezultaty.

Z WYDAWNICTW

Sławoj Składkowski — „Strzępy meldunków" (Warszawa, 1936 — Instytut Badania Najnowszej Historji Polski. Str. 573).

„Dużo rzeczy, mówionych przez Komendanta oddać nie potrafię, mimo, że zapisywałem je dosłownie w czasie meldowania się.

Dużo rzeczy — pisać jeszcze nie wolno — stanowią tajemnicę Państwa".

Pomimo tych zastrzeżeń, zamieszczonych przez Autora na wstępie księgi, „Strzępy meldunków" stanowią, bezspornie jedno z najciekawszych i piękniejszych dzieł, wydanych dotychczas drukiem o Wielkim Marszałku. Zarówno niezwykłe bogactwo tematu oraz subjektywnych przeżyć autora, związanych ściśle z przebiegiem „meldunków" u Pana Marszałka, jak i forma literacka „strzępów" stawiają tę księgę bardzo blisko umysłu, serca i sumienia prawego obywatela Niepodległej Polski.

Bezwątpienia, że cały szereg „meldunków", jak np. meldunek w Sulejówku jesienią 1923 roku, meldunek w związku z otwarciem Sejmu 1928 roku, meldunek odnoszący się do Trybunału Stanu z lata 1929 roku, wreszcie meldunek zatytułowany „oficerowie w przedsionku Sejmu" z października 1929 roku stanowi wprost nieocenione źródło wiadomości „z pierwszej ręki" dla pisarzy i dziejopisów, którzy poświęcą swe pióra Osobie i epoce Wielkiego Polaka.

Dzieło Gen. Składkowskiego pozwala nam, maluczkim, zorjentować się — w przybliżeniu jedynie — o olbrzymiej, wręcz nadludzkiej, nieustannej i potężnej pracy twórczej Pana Marszałka. Z tych „meldunków" dopiero można sobie uświadomić, że wszelkiego rodzaju zagadnienia ze wszystkich dziedzin pracy państwowo-twórczej były przepracowywane przez Pana Marszalka osobiście i samodzielnie. Wzywani do Niego dygnitarze państwowi otrzymywali już konkretne wskazania, a nawet częstokrotnie najdokładniejsze instrukcje wykonawcze, precyzujące sposób realizacji wydanych zarządzeń.

Co się tyczy poruszenia przez Pana Marszałka spraw urzędniczych, to mówią o tem dwa „meldunki", traktujące o dwóch posiedzeniach Rady Gabinetowej z dnia 6 i z dnia 28 listopada 1930 roku. Jest ze wszechmiar pożądane, co więcej — konieczne, aby polski świat urzędniczy potraktował te właśnie „meldunki" jako podstawę do swych bardzo głębokich i bardzo szczerych rozmyślań. Mocne i ostre słowa, wypowiedziane wówczas przez Pana Marszałka, powinny nieprzerwanie stanowić, w pierwszym rzędzie dla świata pracowniczego, kategoryczny i wiążący wskaźnik w realizowaniu tak bardzo pożądanego dla dobra Państwa i jego obywateli procesu harmonizowania wysiłków całego świata urzędniczego, uwolnionego od wszelkich obciążeń dziedzicznych i naleciałości, z tętnem potężnego żywota naszej Ojczyzny.

Dzieło swe Gen. Sławoj-Składkowski zakańcza dwoma „meldunkami" jakże tragicznemi i miażdżącemi serca wszystkich Polaków. Jeden z tych „meldunków" nosi tytuł „Śmierć Komendanta", a drugi — „Pogrzeb Pierwszego Marszałka Polski". Nie znajdzie się chyba w Polsce — jak długa jest i szeroka — i poza Nią, wszędzie tam, gdzie bije serce polskie — czytelnik „Strzępów meldunków", któryby, czytając dwa ostatnie „meldunki", nie złożył Cieniom Wielkiego Marszałka hołdu w postaci łzy serdecznej, która spłynie na ostatni żałobny „meldunek".

Wdzięczni jesteśmy autorowi, że zbliżył nas, szarych obywateli, przez swe dzieło do Wielkości Człowieka.

Kao

Zuzanna Babska. MAGJA KSIĄŻKI. (Biblj. Młodz. Polska i Świat Współczesny Nr. 37).

W bibljotece „Polska i Świat Współczesny", znanej już z doskonałego doboru autorów i tematów, oraz wysokich walorów wychowawczych, ukazał się tomik Nr. 37 Z. Rabskiej p. t. „Magja książki". Jest to — jak pisze autorka — „książka o książkach". Z siedmiu pięknych opowiadań dowie się młody czytelnik, czem jest książka dla człowieka, dlaczego ją ceni i kocha. Z opowiadań tych, przedstawiających książkę w różnych sytuacjach, dzieje jej i rozwój, szczególnie „Wspomnienie lotnika" wzrusza miłością synowską i radością ociemniałej matki, która metodą Braila czyta o sławnych czynach syna.

Każde z tych opowiadań to doskonała nowelka z interesującą fabułą i akcją, pisana pięknym językiem. W sumie książka przemiła, ciekawa i pouczająca, stanowi w bibl. „Polska i Świat Współczesny" mocną pozycję.

Z dalszych tomików ukażą się w tej bibljotece: J. Osińska. W pięknej Rumunji, W. Wasilewska. Wierzby i bruk, H. Januszewska. Broszka van der Maan'ów.

St. Brykczyński. MOJE WSPOMNIENIA .Rok 1863.

Zmarły w ub. r. St. Brykczyński, weteran z 1863 r., jest autorem ciekawych wspomnień z czasów powstania. Jako młody, piętnastoletni chłopak porzuca po wybuchu powstania liceum lubelskie i wraz z dwoma towarzyszami przekrada się do partji. Prawie do samego wygaśnięcia powstania walczy w różnych partjach na terenie lubelskiego i radomskiego, wyróżniając się mimo młodego wieku odwagą i wyrobieniem wojskowem.

Wspomnienia Brykczyńskiego, spisane wiernie i dokładnie przez naocznego świadka i uczestnika walk, stanowią pierwszorzędne źródło poznania bohaterskich wysiłków. Napisane prosto, bezpretensjonalnie, językiem czystym i gładkim, stylem anegdotycznym, są lekturą nadzwyczaj ciekawą. Przepojone bezpośredniością, uczuciem autora, który chwile te nazywa najpiękniejszemi w życiu, spewnością zainteresują młodych czytelników. Poznają oni bowiem ówczesną młodzież, która egzamin z tężyzny moralnej i fizycznej zdawała nie w sportach, lecz w marszach i walkach, życiu obozowem, partyzantce pełnej trudu i przygód, a równocześnie pełnej uroku i romantyzmu.

Ładnie wydana, ilustrowana przez K. Górskiego książka, cieszyć się będzie wielką poczytnością.

Juljan Wołoszynowski: BYŁO TAK. Wydawnictwo Książnicy — Atlas. Lwów — Warszawa, 1935.

Historja Polski? Nie, raczej opowiadanie o dziejach polskich, często mające więcej wspólnego z legendą, niż z poważną doktryną historyczną. Wołoszynowski wprowadza nas w znany, tak bardzo znany i tak kochany świat zadumy młodzieńczej, metodą oryginalnej narracji, która obejmuje całe długie dzieje naszej państwowości przedrozbiorowej. Dzięki pięknej formie wypowiadania swych myśli Wołoszynowski dał czytelnikowi częste chwile prawdziwej uczty estetycznej.

To jednak wszystko, czego możemy doszukać się w ostatniej pracy autora. Treść książki bowiem nie jest bynajmniej ani rewelacyjna, ani budująca.

Jest u Wołoszynowskiego dużo rozbieżności między ustaloną opinją historji a sądem autora. Mamy do czynienia tu z bardzo powierzchowną analizą Polski przedrozbiorowej. Fakty znane wszystkim dobrze, zebrane w ładną formę prozy stojącej na granicy dwóch ścierających się prądów: naturalizmu i klasycyzmu. Te fakty— to cała treść książki plus kilka niedokładności i niepotrzebnych opuszczeń.

Zapomniał Wołoszynowski o fundamencie praw polskich — statucie wiślickim — ale za to nieomieszkał obszernie opisywać Kazimierza W., jako młodzieńca o podkrążonych niebiesko oczach po nieprzespanych „nocach miłosnych". Zapomniał o śląskich targach i pomorskiej sprawie, ale musiał napisać kilkadziesiąt wierszy o Esterce.

Kazimierz Jagiellończyk został odarty przez autora z blasku zwycięstwa nad zakonem i mądrości układu toruńskiego, był tylko troskliwym ojcem i kochającym Elżbietę — małżonkiem. Nieco zamało jak na charakterystykę jednego z tych, którzy Polskę budowali. Zygmunt August — to tylko ukochany Barbary. Razi w książce pewna pasja autora do traktowania w/g współczesnego szablonu nastrojów mas, trudno znaleźć różnicę między tłumem pogan z czasów Mścisława a tłumem 1905 roku. Czyżby dziesięć wieków nie zmieniło nic w masach? To przykłady pobieżnie wybrane i mające wielu pobratymców w opracowaniu Wołoszynowskiego.

Zamykając ostatnią stronę „Było tak" kończę książkę z pewnym lękiem o jej losy. Jest opowiadaniem historycznem, a raczej opowiadaniem literackiem o historji. Starsi i ci co wyszli świeżo ze szkoły — nie znajdują w niej nic nowego; chyba tylko — chęć korekty sądów autora. Dzieciom i młodzieży uczącej się nie damy książki tak popularnie ujętej i dającej wizerunki królów niektórych na tle... ich miłostek.

Będzie ona miłą lekturą dla smakoszów oryginalnego stylu i w wolnych krótkich chwilach wspomnieniem bardzo mglistem naszych wielkich i małych dni.

X.

Pola Gojawiczyńska. ROZMOWY Z MILCZENIEM. Warszawa, 1936, nakładem Gebethnera i Wolffa.

Autorka „Dziewcząt z Nowolipek", „Ziemi Elżbiety", niedawna laureatka nagrody literackiej Warszawy, wydała u Gebethnera i Wolffa w piękną szatę ozdobioną nową książkę pod tytułem: „Rozmowy z milczeniem".

Jest to zbiór luźnych szkiców i impresyj, z których każda jest majstersztykiem wysokiej klasy utalentowanego pióra Gojawiczyńskiej.

Tematy szkiców — są różne. Przeważnie to komentarz i margines bujnej twórczości autorki lub szczera spowiedź kobieca, szczera skarga kobiecej duszy, która pod razami życia nie upada i ginie, lecz broni się samotnie zawzięcie.

Różne są tematy. Łączy jednak te piękne stronice osoba głównej bohaterki, często przechodzącej w rolę obserwatorki, i — rzecz ciekawa — nieuchwytna muzykalność oryginalnego utworu. Kiedy w świadomości naszej szukamy nazwy na tę dźwiękowość prozy Gojawiczyńskiej, odnajdujemy w starych szpargałach nomenklatury literackiej dziś już słowo niemodne i pogardzane: sentymentalizm. Trudno w drobnej recenzji myśl tę uzasadniać obszernie.

Autorka woła całą swoją istotą utraconej melodji dzieciństwa, niewinności utraconych lat. Czyżby powrót do dawnej literatury o sentymentalnem podłożu? Mamy wrażenie, że w istocie tam idzie droga twórczości Gojawiczyńskiej. Tylko z jednem zasadniczem zastrzeżeniem. Nawrót do sentymentalizmu tu będzie miał inne już nastawienie. „Rozmowy z Milczeniem" uczą nas dobitnie, że pozwala autorka spowiadając się z intymnych przeżyć osobistych dojść do głosu równolegle, jako głos równorzędny, szarym kamienicom Starego Miasta i Nowolipek, ich miłości i nienawiści, ich młodości i starości.

I ten akcent społeczny, wybijający piętno specyficzne na twórczości Gojawiczyńskiej, ma u niej czysty głos najbardziej osobistego przeżycia. Jest stąd w „Rozmowach z milczeniem" coś z mocy talentu nowelistycznego Poe'ego, coś z Katarzyny Mansfield, czy Bertranda: „Gaspard le nuit".

Jeżeli więc ochrzciliśmy ten cykl, jako powrót do literatury o podłożu sentymentalnym, to jako sentymentalizm twórczy, budujący, o dominującym pierwiastku społecznym.

Te kilkanaście szkiców, złożonych na nowe dziełko laureatki, czyta się z pietyzmem, bo — szczere, szlachetne i naturalne.

Potęgę myśli i grozę osamotnienia autorki mają uplastycznić ilustracje i winiety Linkego, który — o dziwo — wyraźnie w swej twórczości nawiązuje do zdegradowanej secesji. Śmiały to wysiłek, któremu trudno stawiać jakiekolwiek dziś horoskopy. Linkemu tymczasem który pojął swoją rolę raczej jako komentatora niż ilustratora książki, nie można wybaczyć tak daleko posuniętej oryginalności, że często niezrozumiałej.

Całość wydawnictwa sprawia bardzo miłe wrażenie: piękny bezdrzewny papier, całostronicowe „komentarze". No i przedewszystkiem tekst: Pola Gojawiczyńska — to wystarczy.

X

„CO CZYTAĆ?"

Bardzo interesująco przedstawia się nowy numer, gwiazdkowy „Co czytać", poświęcony wydawnictwom dla młodzieży. Najlepsze książki dla dzieci i młodzieży omówione są szczegółowo. A więc w pierwszym rzędzie nowości: K. Makuszyńskiego i M. Walentynowicza „Awantury i wybryki małej małpki Fiki-Miki", K. Makuszyńskiego „Wyprawa pod psem", Z. Nowakowskiego „Złotówka Manoela", J. Giżyckiego „Na dalekim Zachodzie", W. Lipińskiego „Wielki Marszałek" (wyd. dla młodzieży) i cały szereg książek najlepszych autorów: E. Szelburg-Zarembiny, J .Parandowskiego, K. Iłłakowiczówny, A .Bogusławskiego, Rytardów, Themersonów, Pokera i innych oraz Bibljoteka „Polska i Świat Współczesny". Barwnie drukowany, doskonale zredagowany numer zawiera: nowy wiersz K. Makuszyńskiego, podobizny autorów, odbitki okładek i ilustracyj książek, b. interesujące wyjątki z powieści oraz katalog wydawnictw dla dzieci i młodzieży.

„Co czytać" stanowi doskonały informator o wydawnictwach odpowiednich jako podarunek gwiazdkowy.

Numer pisma otrzymać można bezpłatnie w księgarniach Gebethnera i Wolffa, oraz wszystkich innych.

CENY OGŁOSZEŃ: Za miejsce wysokości 1 milimetra w jednej szpalcie: na str. 1-ej zł. 1.—; w tekście 70 gr.; za tekstem 50 gr. **Nekrologi** po 20 gr., najmniejszy nekrolog 20 zł. Ogłoszenia cało i półstronicowe wg. cen specjalnych. Ogłoszenia tabelaryczne o 25% drożej. Ogłoszenia w kolorze o 50% drożej. Nieumieszczenie ogłoszenia nie obowiązuje Administracji do podawania powodów. **Redakcja rękopisów nie zwraca.**

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. **PRENUMERATA: roczna zł. 4.50.** **Konto wydawcy w P. K. O. 21670.**

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa, Czackiego 14, tel. 269-40**

Redaktor Naczelny i odpowiedzialny: **Juljusz Domański.** Wydawca: **Zarząd Główny Zw. Zaw. Prac. Ubezp. Społ. w Polsce**

2451 Druk Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.